

Cuba

Kamil Kowalewski

Wrzesień, 2019

Dzień 0 - Wstęp

Żaden ze mnie pisarz. Mimo to mam nadzieję drogi czytelniku, że przypadnie Ci do gustu ten opis podróży przez Kubę, która odbyła się między pierwszym, a trzynastym września 2019 roku. Cała opisana tu historia wydarzyła się naprawdę (choć nie spodziewaj się zapierających dech w piersiach scen), a dziennik ten jest jej wiernym odzwierciedleniem, wzbogaconym o elementy kultury, historii, ekonomii, polityki i kulinariów Kuby. Razem z moim przyjacielem Karolem Kozim Kozok („Kozzi” wymawia się z twardym ’z’, nie jako ’ż’) zdecydowaliśmy się w ciągu dwóch tygodni pojechać w trasę dookoła Kuby i posmakować jej na możliwie najwięcej sposobów. Plan naszej wycieczki został opracowany przez Koziego w oparciu o reportaż innej dwójki podróżników i zmodyfikowany na nasze potrzeby. Przede wszystkim, aby uniezależnić nas od poruszania się po Kubie i tym samym zdążyć w dwa tygodnie, zdecydowaliśmy się wynająć samochód. Stał się on naszym trzecim kompanem, właściwie już zaraz po wyjściu z lotniska, bo właśnie tam znajdowała się wypożyczalnia samochodów.

Nie marnując ani chwili pojechaliśmy za nawigacją do centrum Hawany, gdzie mieliśmy zarezerwowane pierwsze dwa dni noclegu. Tam odebraliśmy klucze do pokoju i zmęczeni położyliśmy się spać.

Dzień 1 - Prysznic to luksus, na który nie każdy może sobie pozwolić

Wczoraj późnym wieczorem wylądowaliśmy w Hawanie, odebraliśmy samochód z lotniska i przyjechaliśmy do zarezerwowanego noclegu. Wykończeni padliśmy do łóżek i obudziliśmy się dosyć wcześnie rano - a przynajmniej wcześnie według czasu lokalnego, bo w tym momencie w Polsce była godzina 11. Dzisiejszego dnia mieliśmy w planie wybrać się na darmowe piesze zwiedzanie Hawany wraz z przewodnikiem. Ta lokalna inicjatywa o charakterze wolontaryjnym nazywa się Free Walking Tour. Oferują oni dwie wycieczki: po starej oraz nowej Hawanie i obie z nich chcieliśmy zaliczyć dzisiaj. Właściciel noclegu zaoferował nam śniadanie, ale uprzejmie odmówiliśmy planując zjeść coś w centrum miasta, tuż przed wycieczką. Umyliśmy się i wyruszyliśmy pieszo w okolice punktu zbiórki oprowadzania. Mieszkanie, w którym przyszło nam nocować miało dosyć wysoko uniesiony sufit, zdecydowanie powyżej 3 metrów i niemalże do samego sufitu sięgające drzwi pomiędzy pomieszczeniami. Podejrzewam, że jest to pozostałość archi-

tektoniczna utrzymywana do dzisiaj po czasach, gdy wysokie drzwi były niezbędne, aby dało się wjechać do budynku na koniu. Pierwszą rzeczą, jaka uderzyła mnie po wyjściu z pokoju było gorąco. Nie ma się co temu dziwić, w końcu to kraj o tropikalnym klimacie. Niestety dalej było już gorzej. Hawana nie zrobiła na mnie dobrego pierwszego wrażenia i moje zderzenie z odmiennością, jaką Kuba stanowi wobec Europy było brutalne. Na ulicy paskudnie śmierdziało. Przewijała się mieszanina czterech zapachów: najbardziej odczuwalny spalin samochodowych, kolejno wielogatunkowego gówna, dalej uryny i na koniec ostatni regularnie wyczuwalny zapach - gorzki i stęchły, Niestety nie potrafię znaleźć dla niego nazwy. Budynki w Hawanie w większości są w ruinie. Oczywiście samo centrum z jedną galerią handlową i hotelem wygląda całkiem ładnie, ale już 500 metrów dalej do samych przedmieść rozciągają się odrapane kamienice z oknami zasłoniętymi kratami lub zabitymi deskami. Niektóre budynki były całkowicie opustoszałe, najprawdopodobniej dlatego że mieszkanie w nich grozi niebezpieczeństwem katastrofy architektonicznej. Kontenery na śmieci ustawiane na ulicach są dla miejscowych chyba tylko wskazówką, w okolicy czego rzucać śmieci na ziemię. Przepraszam Cię drogi czytelniku za taki opis - tak autentycznie to wyglądało.

Udało nam się przylecieć na Kubie akurat na rozpoczęcie roku szkolnego. Na ulicach często widywaliśmy grupy dzieci, stojących przed szkołą na apelu. Uczniowie na Kubie chodzą w mundurkach. Dzieci w szkołach podstawo-

wych mają białe koszule i brązowy dół - chłopcy spodnie a dziewczynki spódniczki. Dziewczynki w dodatku noszą podciągnięte wysoko białe skarpety. Uczniowie szkół średnich mają identyczne mundurki, za to w kolorze błękitnej góry i granatowego dołu. Im bliżej miejsca zbiórki wycieczki byliśmy, tym bardziej rozglądaliśmy się za śniadaniem. Jak się okazało, na Kubie wszystkie sklepy otwierane są dopiero w okolicy godziny 10. Wszystkie poza punktami dystrybucji jedzenia dla mieszkańców, bo ciężko jest mi inaczej nazwać okienko w ścianie zabite kratami z wystawionym na zewnątrz „menu” (z napisem „ofertas”) posiadającym od 1 do 4 pozycji. Zdezorientowani otworzyliśmy ściągnięte wcześniej mapy offline, gdzie wybraliśmy restaurację w okolicy, która posiadała jakiegokolwiek rekomendacje użytkowników aplikacji. Skierowaliśmy się tam i dzięki temu, że dosyć sporo czasu zmarnowaliśmy szukając restauracji na oślep, wybiła magiczna godzina dziesiąta i restauracja okazała się otwarta. W cenie 4 dolarów kubańskich otrzymaliśmy przystawki z owoców, w tym takich których nigdy nie jadłem - podobny do melona, tylko czerwony. Podejrzewam, że można go kupić i u nas, ale jakoś nigdy nie wykorzystałem takiej okazji. Pieczywo w formie jeszcze ciepłych bułeczek oraz rożków z ciasta francuskiego nadzianych małą porcją dżemu, smoothie z kolejnego nieznanego nam owocu i jednojajkowy omlet z bekonem, oraz całkiem dobre latte, o którego istnieniu w karcie dowiedział się ode mnie kelner. Zadowoleni ze śniadania ruszyliśmy spokojnym spacerkiem na miejsce zbiórki wycieczki. Turyści dzieleni są na 4 grupy

według kryterium kierunku wycieczki (stara lub nowa Hawana) i języka przewodnika (angielski lub hiszpański), nas w trakcie pierwszej - po starej Hawanie - oprowadzał absolwent filologii angielskiej - rodowity Hawańczyk. Dowiedzieliśmy się naprawdę mnóstwa ciekawych rzeczy, a przynajmniej ja uznałem całą wycieczkę za wybitnie ciekawą.

Nie jest wiadome jakie ludy zamieszkiwały Kubę pierwotnie. Najprawdopodobniej była to jakaś mieszanina Azteków z innym pierwotnym ludem Ameryki środkowej, ale nie ma na to zachowanych dowodów. Pierwotne ludy Kuby zostały wyparte przez ekspandujących się Wenezuelczyków, Dominikan i inne pobliskie nacje, które żyły tu przez około 300 lat. Jest to pierwsza z czterech epok na Kubie, z której zachowały się dowody historyczne.

W 16-stym wieku na Kubę przybyli Hiszpanie, transformując ją od wschodu na zachód. Budowali fortece (głównie do ochrony przed piratami), dwory, wszystko w typowym dla siebie architektonicznym stylu. Nazwa Habana (przez B) pochodzi od księżniczki wydanej za hiszpańskiego lorda, który się tu osiedlił. Kuba funkcjonowała jako państwo kolonialne produkujące kakao, trzcinę cukrową, tytoń i kawę. Kubańczycy regularnie sprzeciwiali się wyzyskowi i pomimo nieskutecznych powstań, ciągle stawali do walki o swoją wolność. W okolicy 1870 roku udało im się umieścić swoich przedstawicieli w hiszpańskim rządzie, a blisko 10 lat później zniesli niewolnictwo.

Trzecią epokę w dziejach Kuby rozpoczyna zbrojna interwencja armii Stanów Zjednoczonych i przejęcie wyspy z

rań Hiszpan. Powstała konstytucja, na mocy której Stany Zjednoczone mogły ingerować w sprawy kubańskie, co dopiero wiele lat później zostało zniesione, jednak silny wpływ Amerykanów pozostał aż do końca tej epoki. Kuba nawadniana była słabym systemem irygacji do czasu, aż Kubański inżynier zaprojektował grawitacyjny podziemny system wodociągów, dzięki któremu dostępna była czysta pitna woda, co powstrzymało wiele chorób (typowych dla braku czystej wody), natomiast sam inżynier do dziś jest narodowym bohaterem, a na placu w Hawanie stoi jego pomnik otoczony fontannami. Jest to trochę ironiczne, bo dziś Hawana boryka się z problemami z dostawą wody, przez co na ulicach ciągle widać cysterny dostarczające życiodajną ciecz do odciętych części miasta. Kuba przez lata próbowała wyzwolić się od kolonialnego wpływu, najpierw hiszpańskiego, później amerykańskiego.

Rosnące niezadowolenie społeczne doprowadziło do tego, że w 1959 Fidel Castro rozpoczął rewolucję uwalniającą naród od skorumpowanego rządu marionetkowego i przynoszącą upragniony komunizm. Taki jest punkt widzenia Kubańczyków, któremu zresztą ciężko się dziwić, biorąc pod uwagę sytuację w jakiej byli przed rewolucją. Uciekający prezydent ukradł całe kubańskie zapasy złota, co długofalowo w połączeniu z amerykańskim embargo, transformacją ustrojową i gospodarczą doprowadziło do silnego kryzysu, za który Kubańczycy obwiniają kapitalizm. Otwiera to czwarta epokę w dziejach Kuby, trwająca do dzisiaj. Kubańczycy pracują na państwowych posadach za śr. 25 do-

larów kubańskich miesięcznie. Każdy taki dolar jest wart 25 kubańskich peso. W trakcie wycieczki uliczny rysownik namalował mi spontaniczny portret, za który jak się potem dowiedziałem dostał ode mnie 1/5 miesięcznej pensji Kubańczyka. Posiłek „w okienku” (o których pisałem wcześniej, chodzi o te okna z kratami i cennikiem) kosztuje 3-6 peso, wygląda tak, że strach spróbować i dopiero przeraża perspektywą żywienia się nim codziennie. Oglądaliśmy, jak Kubańczycy jedzą cierpiące od wysokiej temperatury ciastka z niezidentyfikowanym kremem, hotdogi z żółtego chleba oraz jakieś zaschnięte knuty, które podejrzywam mają skład i pochodzenie zbliżone do psich klocków. Z okresu okupacji amerykańskiej zachowało się dużo samochodów, amerykańskich klasyków oraz zabytków infrastruktury miasta. Oglądaliśmy przepiękną aptekę z manufakturą leków na zapleczu, odbudowaną po pożarze, niegdyś bogato wyścielona meblami i zdobieniami z mahoni, dziś jest to jedynie pomalowana na czarno rekonstrukcja. Następnym punktem wycieczki był postój przy rządowym banku i opis obecnej sytuacji ekonomicznej Kuby. Kryzys postrewolucyjny doprowadził do silnej inflacji i aby przetrwać na rynku międzynarodowym wprowadzono wspomnianą wcześniej walutę kubańskiego dolara - cuc (zwanego też convertiblem) - równoległe do poprzedniej cup (kubańskiego peso). Nową walutę kupują tylko turyści (w znaczeniu takim, że nie uczestniczy w handlu międzynarodowym. Kubańczycy również z niej korzystają), aby płacić za miejscowe towary oraz importowane produkty (jak np. elektro-

nikę). Dzięki temu kubański rząd dysponuje środkami, aby handlować na arenie międzynarodowej.

Kubańczycy korzystają z Internetu pakietowego. Duża część Kuby pokryta jest zasięgiem Internetu radiowego, do którego można się podłączyć za pomocą pakietów Internetu kupowanych w placówkach państwowej telekomunikacji ETECSA. Istnieje oczywiście tylko jeden prowider Internetu, więc jakiegokolwiek lokalne Wi-Fi również korzysta z tego systemu i bez pakietu bajtów nie można podłączyć się do sieci, w tym także do Wi-Fi w hotelu czy restauracji. Po wycieczce wymieniliśmy się mailami z przewodnikiem - był naprawdę sympatyczny. Poszliśmy zjeść obiad do miejscowej restauracji, w której w menu figurują cztery potrawy: pork, chicken, fish, i customowa mieszanka trzech powyższych według życzenia klienta. Do tego zamówiliśmy ciemne piwo (bo tylko takie było), rzekomo ichniejszej produkcji. Byłem do tego sceptycznie nastawiony, bo nie przepadam za takim. Okazało się natomiast wybitnie dobre i orzeźwiające! Smakiem umieściłbym je w połowie drogi z jasnego piwa do kwasu chlebowego. Zamówiliśmy też jedną porcję pork i jedną chicken w zamyśle takim, abyśmy oboje zjedli po połowie każdej. Porcje nie były duże, ale smaczne i ładnie podane. Na stojaku nad talerzem wisiały nabite na pręty kawałki mięska, górujące nad ryżem i „sałatka” z marynowanych pieczarek i jakiś jakby fasolek szparagowych. Po obiedzie wyruszyliśmy do banku wymienić resztę pieniędzy. Mi został banknot 100 euro, którego w kantorze na lotnisku nie chcieli, bo rzekomo był zbyt nowy. Kozi

natomiast wymienił tam tylko część pieniędzy, bo obawiał się niekorzystnego kursu - niepotrzebnie jak się okazało, bo wszystkie kantory i banki na Kubie są państwowe i mają te same kursy. Po drodze rozglądaliśmy się za pamiątkami w przyulicznych sklepikach, ale nieszczególnie było tam coś wartego uwagi. Kozi poszukiwał pocztówek, w końcu gdziekolwiek na świecie tam, gdzie są turyści, są i kartki pocztowe w sklepach. Ale nie tu. Chyba musielibyśmy poszukać jakiejś poczty, na mapie widzieliśmy, że są tu jakieś. Ciekawe jaka część Kubańczyków jest niepiśmienna... kiedyś to sprawdź! Trafiliśmy do banku wymienić waluty, lecz jak przystało na państwowy urząd nie wymienili mi mojego banknotu, a jedynie podali adres innego banku, który może mi pomóc. „Może” bo skąd mogę mieć pewność, że nie zostanę odurzędowany do kolejnego oddalonego o setki metrów miejsca? Wyruszyliśmy dalej pieszo - do kolejnego banku. Szukając kartek pocztowych i pamiątek zapędziliśmy się za daleko i przyczepił się do nas jakiś facet, który usilnie chciał nam pomoc znaleźć to czego szukamy i prowadził nas przez Hawanę - od sklepu do sklepu (z identycznym nie odpowiadającym nam asortymentem) i pytał tam czy mają to czego chcemy. Trochę nam to było nie na rękę, bo ani nie chcieliśmy go napiwkować za pomoc, ani nie szukaliśmy nic na siłę, raczej przy okazji. Zaprowadził nas na jakiś targ, który na całe szczęście był zamknięty, co wykorzystaliśmy, żeby się z nim pożegnać. Zaczęły nam się udzielać obtarcia - całodniowa piesza podróż przez Hawanę niezbyt współgrała z ubranymi przeze mnie japonkami. Dotarliśmy

w końcu do drugiego banku, który jakby nigdy nie wymienił mi pieniądze. W klimatyzowanym budynku banku odpoczęliśmy 15 minut (padł pomysł, żeby uciekać, póki nie zauważyli, że mój banknot był jakiś wadliwy, ale uznaliśmy, że jeśli urzędnik już go przyjął, to na państwowej posadzie będzie miał gdzieś to, czy wszystko było w porządku. A przynajmniej nasz polski urzędnik tak by postąpił). Zbliżał się termin drugiej wycieczki, więc wyruszyliśmy na miejsce zbiórki, a że udało nam się dotrzeć jakieś 20 minut przed czasem, to w barze przy samym punkcie zbiórki zamówiliśmy sobie orzeźwiające napoje alkoholowe. Wykorzystując ostatnie minuty pozostałe przed wycieczką poszedłem skorzystać z toalety. Drzwi do niej otwierały się ciężko - na Kubie mało co jest nowe i sprawnie działa. A przynajmniej tak mi się wydawało (ze chodzą ciężko, druga część nadal jest prawdziwa), bo jak się okazało wewnątrz był mężczyzna siłujący się ze mną drzwiami, abym mu nie przeszkadzał w korzystaniu z toalety. Późniejsza analiza pokazała jednak, że drzwi mają sprawną zasuwkę. Nie można go za to winić: na Kubie mało co jest nowe i sprawne, widocznie obawiał się, że ochroni go to mniej, niż trzymanie drzwi ręką.

Druga wycieczka nie była taka bogata historycznie, obejmowała nową Hawanę. Zwiedziliśmy china town, w którym ku naszemu zdziwieniu nie było zbyt wielu mieszkańców narodowości azjatyckiej. Taki stan rzeczy spowodowany był tym, że wynieśli się oni w trakcie rewolucji. Kubańscy pracują za bardzo podobne, głodowe pensje, więc prawie

każdy dorabia sobie nielegalnie na boku. Na Kubie nie ma ani jednego więźnia politycznego - każdego obywatela można przecież skazać za nielegalne praktyki. Ulice pełne są drobnych sklepików, gdzie każdy ma jedynie kilka produktów asortymentu, np. 6 bananów i 8 mango. Oglądaliśmy również panoramę Hawany z dachu 5-cio piętrowego budynku (popijając drink z rumu, ananasów i dżemu morelowego). Hawana wygląda gorzej niż Częstochowa - budynki rozpadają się, ulice wyglądają źle. Z góry natomiast wygląda to jeszcze gorzej - jak ruiny. Dachy budynków niejednokrotnie składają się jedynie z pozostałości po najwyższej kondygnacji. Wycieczkę skończyliśmy przy obetonowanej promenadzie przy morzu. Wykończeni usiedliśmy na betonowej barierce i odpoczęliśmy chwilę. Ustaliliśmy plan dalszego działania i łatwo doszliśmy do porozumienia, aby obciąć dodatkowe kilometry marszu za pomocą taksówki - nasze nogi i tak już protestowały, a jutro w planie jest wycieczka rowerowa. Poszliśmy zatem pieszo na starą Hawanę. Tam pojechaliśmy windą jedynej miejscowej galerii handlowej na 6-ste piętro, gdzie w barze z punktem widokowym na panoramę miasta zamówiliśmy sobie kubańskie jasne piwo. Dwa różne - spróbowaliśmy obydwu. Kubańskie piwo jest lekkie, niskoalkoholowe, orzeźwiające. Lekko kwaśne. Nad Hawaną powiewał czarny dym wydzielany w ogromnej ilości przez komin jakiejś fabryki, czy raczej manufaktury. Wśród gości tego baru był blondyn wyglądający jak Fernando Torres wraz z czarnoskórą partnerką, która wyglądała jak modelka. Może to byli oni! Gdy tylko usiądę

przy Internecie, sprawdzę jak teraz wyglądają! Opuściliśmy bar i wybraliśmy się do kolejnego - na drinka, bo piwo już piliśmy. Knajpka, do której poszliśmy była kiedyś co dzień odwiedzana przez Ernesta Hemingwaya. Przychodził do niej, zawsze takim samym krokiem kierował się w lewo, opierał o bar i prosił „to co zwykle”. Dziś ten drink można zamówić pod nazwą „Papa Hemingway”. Nas niestety nie wpuścili do baru, może był pełen, a może my nie byliśmy odpowiednio ubrani. Poszliśmy zatem na parking taksówek, żeby dojechać prosto do pokoju. Poprosiliśmy oczywiście o jazdę klasycznym Chevroletem. Udało nam się dogadać z kierowcą błękitnego klasyka. Powiedział nam, że to model z 56-go roku, z oryginalnym silnikiem.

Wróciliśmy zmęczeni, obtarci i przepoceni do pokoju. No... i nie było wody. Wezwaliśmy opiekuna pokoju, któremu nadaliśmy imię Gonzales (nie pamiętaliśmy, jak się nazywał, a jakoś potrzebowaliśmy o nim mówić między sobą), na pomoc. Gonzales niestety był bezsilny, zaoferował nam za to wodę butelkowaną, za darmo. Mieliśmy jeszcze kilka półlitrowych buteleczek zapasu, więc podziękowaliśmy, najwyżej wezwiemy go później jeszcze raz. Umyłem obtarte stopy, twarz i zęby, co pochłonęło większość naszych zapasów wody. Jak można się powoli domyślać - toaleta również korzystała z wody. Jedno spłukanie zadziałało ze zgromadzonej wody, drugie wymagało użycia zewnętrznej. Wlałem naszą ostatnią butelkę od góry, co widocznie było błędem - Kubańskie spłuczki działają chyba inaczej niż polskie. Wlana woda nie została ani w zbiorniku, ani

Prysznic to luksus, na który nie każdy może sobie pozwolić

nie spłynęła do muszli. Wezwaliśmy Gonzalesa z prośbą o dodatkową wodę, bo „chcieliśmy wziąć jakąś namiastkę prysznic”, tylko żeby wylać tę wodę do toalety i rozrzedzić zawarty tam materiał. Gonzales przyniósł nam całą wodę jaką miał, prosto z lodówki. Poradziliśmy sobie z toaletowym kryzysem, za to o ile ja mogłem się umyć letnią wodą, tak Koziemu przyszło myć się lodowatą - świeżo przyniesioną przez Gonzalesa. Bo tą letnią wylaliśmy. Po wszystkim przeпоcony położyłem się spać w nadziei, że rano będzie już woda.

*Prysznic to luksus, na który nie każdy może sobie
pozwolić.*

Dzień 2 - Smacznego!

Wstaliśmy wraz z odgłosem napęlniającej się spluczki. Woda powróciła! Oboje szybko wzięliśmy prysznic i stawiliśmy się na śniadanie. Gonzales przywitał nas talerzem obficie załadowanym pokrojonymi owocami: ananasem, bananami i tym dziwnym czerwonym melonem, którego nazwa nadal nie jest mi znana. Przygotowane były też grzanecki, wrzątek, kawa rozpuszczalna wątpliwej jakości (w kwestii wyjaśnienia: na świecie nie istnieje inna kawa rozpuszczalna. Ale są też i takie, które mi smakują) i cukier. Na stole stopniowo pojawiały się kolejne talerze, począwszy od solonego masła, poprzez chlebowe zapiekanki z szynką i serem, małe naleśniczki dla każdego z nas, miodek, ciepłe mleko (idealne do kawy!) i smoothie z czerwonego melona. Śniadanie było spore, nie podołaliśmy mu w całości. Głównie przez owoce, których było dużo. Gonzales na koniec próbował dobić nas pytaniem czy chcemy do tego omlet. Zapłaciliśmy, pożegnaliśmy się z nim i ruszyliśmy do samochodu. Następnym miejscem na naszym rozkładzie było Viñales. Jak się okazuje, wynajęte przez nas auto

nie jest jakoś super automatyczne. Brakuje mu między innymi tej wygody, którą jest automatyczne gaszenie świateł. Odkryliśmy to poprzez objaw rozładowanego akumulatora, automatyczny zamek nie otwierał się, a silnik ani drgnął przy próbie zapłonu. Z pomocą przyszedł nam Gonzales, który wezwał jakiegoś swojego znajomego mechanika. Gdy przyjechał, wypiął nasz akumulator, włożył swój, zapalił samochód i operując na otwartym sercu wyjął swój i zamontował z powrotem ten nasz - cały czas na włączonym silniku. Zalecił nam abyśmy jechali teraz bez świateł, bo zużywają prąd, który musi nam się jeszcze dobrze naładować. Kubańskie prawo drogowe nie wymaga jazdy ze światłami, mało kto włącza je tu w dzień. Po raz drugi pożegnaliśmy Gonzalesa i ruszyliśmy realizować plan wycieczki, jaki tego dnia zaczynał się od sklepu z rumem i cygarami. Odkryliśmy, że Hawana niewiele różni się od Gliwic, przynajmniej z punktu widzenia poszukiwania parkingu. Wszystkie bowiem w centrum były zajęte lub płatne. Musieliśmy wykupić sobie godzinę postoju. Kozi pozostał w samochodzie pilnować zapalonego silnika (kto wie czy znów odpalilibyśmy go na obecnym stanie akumulatora), a ja ruszyłem z listą zakupów przed siebie. Kiedy wchodziłem do sklepu uliczni obserwatorzy kładli na mnie swoje spojrzenia. Gdy wychodziłem z zakupami zaczęli mnie pytać, czy wybrałbym się może do fabryki cygar. Nie mieliśmy jednak na to czasu, pewnie przyjdzie nam jeszcze zostać zaproszonym na taką wycieczkę. Na pożegnanie spytali mnie tylko skąd jestem. „Polonia, Fiat” - odpowiedziałem, bo o ile nazy-

wając Polskę po imieniu często trzeba to było powtórzyć, tak nazywając ja Fiatem rozwiewa się wszystkie wątpliwości. Na Kubie jeździ dużo (około połowa) klasycznych amerykańskich samochodów sprzed rewolucji, które świetnie zachowały się do dzisiaj (jeśli „zachowały” może opisać nadwozie z kitu i zawieszenie wybiórczo tolerujące tylko niektóre drogi), rosyjskich Ład, Fiatów identycznych z 126 i 125, ale numerowanych w rozmaity sposób. Najczęściej pojawiającą się liczbą na małym Fiacie była 450. Po powrocie do Polski koniecznie to sprawdzę! Może taki samochód faktycznie figurował też pod tym numerem. Ostatnią i najmniej liczną grupą są współczesne kompakty, ale bardzo wybrednie dobierane modele. Jest między innymi jedyny Mercedes: A200 i żadnego innego modelu. Podobnie widnieją dwa modele Renault: Sandero i drugi o nazwie, której nie zapamiętałem. Natomiast Fiat 126 lub 126p, czy jakiegokolwiek inne oznaczenie identycznie wyglądającego samochodu nazywany jest przez Kubańczyków „polskim fiatem” (tak jak u nas nazywany był małym lub maluchem). Widziałem nawet dwukrotnie egzemplarz z takim właśnie („Polski Fiat”) napisem (u nas niemalże każdy 126p miał taki emblemacik z tekstu ułożonego w dwóch odmiennych kolorystycznie liniach). Kubańczycy oczywiście mówią to po hiszpańsku. Stad określenie Fiat precyzyjnie opisuje im nasze pochodzenie.

Drogi w Hawanie są koszmarne. Pełne zarówno dziur, jak i rozmaitych wybojów, sięgających średnio 10-15 cm, w porywach do 25 cm. Najechanie nawet na przeciętny wy-

bój mogłoby urwać koło. Nam przynajmniej jeszcze udało się do tego nie doprowadzić. Poza Hawanę drogi są lepsze - a przynajmniej autostrada, co ciekawe nazywająca się A4, którą jechaliśmy. Przy drodze jest mnóstwo kubańskich autostopowiczów. Stoją właściwie w każdym miejscu oferującym odrobinę cienia i machają ręką, żeby ich podwieźć. Jeden z nich właściwie wbiegł nam prawie pod koła, po czym poprosił żebyśmy go zawieźli do Viñales, gdzie właśnie jechaliśmy. Rzekomo autobus, którym miał jechać, dawno temu nie przyjechał. Ku mojemu zdziwieniu Kozi się zgodził. Okazało się, że facet nazywa się Hose (a przynajmniej tak się to wymawia. Ciężko mi prorokować, jak to napisać, może Jose?) i jest pracownikiem ochrony Kubańskiego Parku Narodowego, wpisanego na listę światowego dziedzictwa kulturowego Unesco. Puszczal nam swoją ulubioną muzykę z telefonu, tłumaczył zwyczaje jazdy na Kubie, pokazywał zdjęcia żony i córki, opowiadał co możemy zrobić, żeby przenocować w Viñales. Na Kubie obowiązuje ruch prawostronny, ale jeździ się lewym pasem. Prawy jest często dziurawy, więc jeżdżą nim konie i ciężarówki z ogromnymi kołami, którym nie straszna taka droga. Tradycyjnie należy też zatrąbić przy wyprzedzaniu, ale my sobie to odpuścimy, bo ten odgłos co chwilę jest strasznie irytujący. Dowiedzieliśmy się też, że mrugnięcie światłami na autostopowiczów oznacza, że nie weźmiemy ich z powodu pełnego auta lub kończącego się paliwa. Dziwny sposób... rzadko widzieliśmy, żeby ktoś zatrzymywał się ich zabrać. Chyba wydajniej było by sygnalizować, że się ich zabiera, a

nie odmawia. Hose zaproponował też, że pokaże nam drogę przez wspomniany park narodowy, w którym pracuje. Pojechalśmy więc, jak się okazało później - dosyć naokoło, przez góry. Widoki faktycznie były śliczne, ale droga paskudna. Walka z omijaniem dziur często była bardzo nierówna. Hose kilkakrotnie prosił, żeby spuścić szyby i pytał miejscowych o drogę, mimo że i tak jechaliśmy na gps'ie. Pokazał nam, gdzie jest wypożyczalnia łódek, na którą planujemy się jutro wybrać. Dowiedziałem się też od niego, że ptaki, których jest mnóstwo na Kubie to sępy. W stadach wirują nad Kubą i szukają pożywienia. Na koniec zatrzymaliśmy się przy jakimś barze, pośrodku jakiejs wsi - która okazała się przedmieściami Viñales. Na tych oto przedmieściach, w przydrożnym barze Hose zaproponował nam sok i jedzenie na jego koszt. Sokiem było smoothie z mango, za to posiłek był niezwykły. Składał się z jakiś kopytek z ciasta, którego konsystencja przypominała krzyżówkę kaszy i klusek - w dwóch wariantach - zwykłym i panierowanym. Wszystko to było dosyć tłuste, a my byliśmy po obfitym śniadaniu, ale jakoś domęczyliśmy te porcje. Zostaliśmy zaproszeni na ekspresową wycieczkę po plantacji tytoniu. Tytoń jak się dowiedzieliśmy, był niedawno sadzony i w okolicy grudnia będzie zbierany, a następnie suszony. Różne części rośliny zbiera się na potrzeby różnych cygar - te które widzieliśmy składały się z liścia wraz z krótkim kawałkiem łodygi. Na Kubie produkuje się 16 rodzajów cygar, różniących się między innymi aromatem i zawartością nikotyny. Na koniec wycieczki zostaliśmy poczęstowani cygarem lokalnej

produkcji. Nie mają one filtra, więc pali się je przez koniec zamoczony w miodzie. Następnie właściciel farmy zaczął na nas naciskać, żebyśmy kupili u niego cygara. Próbował nam wcisnąć paczki po 25, najlepiej po jednej na każdego z nas. Koniec końców Kozi zmiekl i kupił od niego 5 cygar, przez co właściciel był niepokieszony, ale dał nam spokój. Umówiliśmy się na jutro rano na wycieczkę konną. Usłyszeliśmy od razu, że jego kolega ma pokój do wynajęcia - właśnie tego szukaliśmy. W nadziei, że nie będzie to wyzysk pojechaliśmy go obejrzyć, ale właściciela nie było - miał się pojawić za parę godzin, z powodu wizyty u dentysty.

W samochodzie zostało nam pół baku paliwa. Ciężko określić spalanie (a potrzebowaliśmy je znać, aby oszacować, kiedy musimy zatankować), bo droga była paskudna, ciągle hamowaliśmy przed dziurami i jechaliśmy w górach. Hose ostrzegał nas, że na Kubie jest mało stacji benzynowych, ale chyba będziemy dmuchać na zimne i tankować do pełna przy możliwej okazji. Wyszliśmy na centrum (to duże słowo na jedną ulicę z jednopiętrowymi domkami) Viñales i szukaliśmy baru, w którym popijając alkohol poczekamy na właściciela wynajmowanego pokoju. Jak się okazało - trafiliśmy na bar z najlepszą pinacoladą jaką piłem! Za to z dosyć słabym mojito, które zamówił Kozi. Siedząc napłynęły nam do uszu znajome słowa - obok nas jakieś dwie dziewczyny rozmawiały po polsku! Kozi wstał kierując się do toalety i widząc, że akurat jadły obiad, rzucił w ich stronę:

„Smacznego!”

Oczywiście dziewczyny przekształciliły oczy w pięcioletówki. Po drodze do pokoju wstąpiliśmy na targowisko upominków, bo jak się okazuje, w Viñales handlują nawet pocztówkami! Zadałem sprzedawcy trud przeszukania swoich zbiorów, żebym mógł kupić obraz przedstawiający Chevroleta. I udało się! Powieszę go sobie w pracy albo nad łóżkiem. Wróciliśmy po około dwóch godzinach, ale właściciela nie było. Za to jakiś jego chyba-pracownik kręcący się po posiadłości odpowiedział nam, że za około pół godziny powinien już być - oby! Gdy przyjechał okazało się, że pokój jest całkiem tani. Standard pokoju był wysoki, więc jedyne czego się obawialiśmy, to ceny. Realizując plan dnia wypożyczyliśmy rowery i pojechaliśmy nad miejscowe jezioro Presa el Salto. Rowery były w słabym stanie, w szczególności hamulce, ale dało się jechać - powoli i ostrożnie. Na miejscu na zmianę pilnowaliśmy rzeczy i pływaliliśmy. Na zmianę, to znaczy zawsze ktoś czekał na brzegu pilnując naszego dobytku, w tym cennych jak złoto paszportów. Ten region Kuby wyścielony jest czerwonymi glebami, a góry składają się z jakiegoś żółtego kamienia wymieszanego z szarą masą skalną. Chciałbym lepiej znać się na składzie gleb, może mógłbym wtedy dokładniej to opisać. Czerwone ziemie czasami świadczą o obecności żelaza, ale nie jestem przekonany, że tu jest właśnie tak. Może to jakiś związek fosforu? Fosfor przyjmuje wiele barw w swoich związkach, przez co nazywa się je kolorami. Za to fosfor czerwony jest

(a przynajmniej tak mi się wydaje) silnie łatwopalny, więc nie będzie raczej składnikiem gleby (bo utleniony zmieniłby kolor). Blżej brzegu dno jeziora było kamieniste, a dalej gliniaste. Nie wiem czy gorsze są wbijające się w stopy kamienie, czy mułowe dno. Wróciliśmy rowerami, umyliśmy się i ruszyliśmy na kolację. Pełen entuzjazmu wybrałem miejsce, w którym spożyjemy posiłek, ale wyszło koniec końców na to, że nie był to najlepszy wybór. Ja zamówiłem szaszłyk wieprzowy, natomiast Kozi stek ze świni. Mój szaszłyk był taki strasznie zwykły. Minusem było mięso, było twarde, chyba z jakiegoś starego knura. Kozi natomiast miał jeszcze gorzej. Jego „stek” okazał się być schabowym w cebuli, tylko takim bez panierki. W sumie zaczynam się zastanawiać jak inaczej mógłby wyglądać stek wieprzowy... Przydarzyło mi się nawet przypadkiem upuścić na ziemię kawałek mięsa przy zdejmowaniu go z szaszłyka. Chyba miałem szczęście, że nikt tego nie widział, bo bałbym się spalenia na stosie za marnowanie jedzenia - szczególnie mięsa. Po chwili przypałał się jeden z tysiąca wygłodniałych psów szwędających się po okolicy. Wykorzystałem to, ukradkiem podsuwając mu dowód mojej zbrodni. Zamówiłem sobie losowy drink z karty o nazwie Sangria, Kozi za to wybrał jakąś miodowo-cytrynową mieszanę. Mój drink był świetny! Wino z wodą gazowana i sokiem porzeczkowym. Nauczę się taki robić! Kozi za to trafił na bardzo dobry drink, ale doprawiony alkoholem tak mocno, że ciężko było go pić. Znam ludzi, którzy nazwali by go średnim - bo chyba zrobionym pół na pół wódki z resztą składników, więc „średnim”. Hose

opowiedział nam dziś żart, że najlepszym sposobem na naukę hiszpańskiego i salsy jest wypicie pięciu mojito. Chyba nadal nam trochę brakowało, nawet Koziemu.

Smacznego!

Dzień 3 - Słowo Cuba oznacza miejsce, w którym są góry i żyzne ziemie

Postanowiliśmy, że każdemu właścicielowi pokoju, który wynajmujemy, nadawać będziemy imiona. Pierwszy z pokoi, ten w Hawanie należał do Gonzalesa. Drugi z kolei, tutaj - w Viñales, należy do faceta, którego ochrzciliśmy imieniem Pacho, gdzie „ch” wymawiane jest jako zgłoska pomiędzy „cz” i „ć”. Pacho był wobec nas bardzo uprzejmy i wczoraj zaoferował nam darmowego drinka, ale odmówiliśmy. Dziś rano zostało nam przygotowane śniadanie z talerzem bananów, talerzem czerwonego melona i ananasów oraz trzecim talerzem z arbuzami i różowym melonem. Wszystkie owoce były pokrojone tak, aby stanowić jeden kęs. Co więcej, dzisiejszy poranek był tym momentem, w którym zdałem sobie sprawę z obecności dwóch rodzajów czerwonego melona (oczywiście żaden z nich nie jest melonem, ale roboczo przyjmują tę nazwę, z powodu mojej nieznajomości ich faktycznej tożsamości gatunkowej). Jednym rodzajem melona jest czerwony. Nie ma pestek i smakiem oraz konsystencją przypomina gruszkę (oczywi-

ście bez samego smaku gruszki. Chodzi o słodkość i kremowość gruszki. Zapach gruszki wywoływany jest przez ester jednego z najprostszych kwasów karboksylowych, jedno lub dwuwęglowego, nie pamiętam dokładnie którego. Tutaj nie ma go ani krztyny). Drugi z kolei jest różowy i posiada dużo twardych pestek. To właśnie z tego różowego dwukrotnie piliśmy smoothie w Hawanie. Do śniadania dostaliśmy też ciepłe mleko, jajecznicę, sucharki, masło, żółty ser i jakąś mielonkę pociętą w trójkąty, której żaden z nas nie spróbował. Banany były nieobrane - widać było, że są dojrzałe, ich skórka była pociemniała. Po śniadaniu wsiedliśmy w samochód i pojechaliśmy na plantacje tytoniu, gdzie umówieni byliśmy na przejażdżkę konną. Na miejscu przywitał nas facet, który wyglądał jak kowboj z western'u. Zamówiona wycieczka miała być dwuosobowa (plus przewodnik), bo w ten sposób moglibyśmy dowolnie zwalniać jazdę, by porobić zdjęcia. Z tego powodu odbywała się godzinę przed pierwszą oferowaną wycieczką: o 9 rano. Tak przynajmniej się umówiliśmy. Widocznie nie tylko my chcieliśmy z tego skorzystać, bo wraz z nami na zbiórce stała się para Belgów. Pojechaliśmy na kubańskie rancho, gdzie każdy z nas otrzymał konia do jazdy. Ten mój nazywał się Pahirito, natomiast Kozięgo Caramelo, przynajmniej fonetycznie. Ciężko mi zgadywać jaka jest pisownia tych imion. Nasz przewodnik zarzekał się, że konie są „semi-automatic”, ale nie jestem pewien czy zrozumiał mój żart, że na pewno sobie poradzę, w końcu na co dzień jeżdżę na automatycznej skrzyni biegów. Wycieczka odbywała się po Kubańskim Parku Na-

rodowym.

*Słowo Cuba oznacza miejsce, w którym są góry i żyzne
ziemie.*

Park ten pełen jest spektakularnych widoków dzięki natury, gór, palm, ścieżek z czerwonej ziemi, zieleni dookoła nich. Na Kubie uprawiane są trzy rodzaje ziemniaka: bataty, manioki oraz trzeci rodzaj, którego nazwy nie pamiętam, ale jego krzaki mają liście ładująco podobne do charakterystycznego symetrycznego siedmiolistnego zioła z ząbkowanymi krawędziami. Mijaliśmy plantacje każdego z rodzajów ziemniaków, jak i pola trzciny cukrowej, która wygląda jak przerośnięta kukurydza, tylko bez kukurydzy. Nasz przewodnik nieustannie popędzał konie krzycząc ich imiona w losowej kolejności. Podejrzewam, że to miało sprawić turystom radość, podobnie jak nieustannie trąbiący taksówkarze. Pierwszym przystankiem wycieczki była plantacja kawy. Zatrzymaliśmy się, zsiadliśmy z koni i rozprostowaliśmy nogi.

Krzewy kawowe owocują między wrześniem a grudniem. W tym czasie regularnie zbierane są tu owoce kawowca, które stają się czerwone, gdy dojrzeją. Wśród krzewów sady się drzewa nazywane przez Kubańczyków „golasami”, ponieważ posiadają liście tylko w bardzo krótkim okresie, gdy kawa woli mieć mniej światła i gubią je, kiedy kawowce potrzebują go więcej. Na terenie parku narodowego pracownicy nie mogą używać żadnych nowoczesnych maszyn, w

tym ciągników rolniczych, więc kawa zbierana jest ręcznie. Dzięki temu park widnieje na liście światowego dziedzictwa kulturowego Unesco. Owoce kawowca miażdżone są w ogromnym drewnianym młódczu o nazwie „pilon”, który wywodzi się z Afryki. Miażdżenie nie polega natomiast na tym samym, co przypraw w klasycznym młódczu. Tu wystarczy jedno uderzenie drewnianego młota, aby owoce pękły, dzięki czemu można łatwo ręcznie wydzielić ziarno. Kubańcy mają swój własny taniec, który towarzyszy im przy ugniataniu owoców, nazywają go Pilon Dance. Na odwiedzonej przez nas plantacji uprawiana jest Arabica. Na Kubie uprawia się również drugi gatunek kawy - Robusta. Arabica jest aromatyczna, a Robusta bardziej kwaśna. Ziarna kawy następnie są palone w stalowym pudle. W zależności od rozmiaru pudełka oraz czasu palenia uzyskuje się różne efekty końcowego bukietu aromatycznego kawy. Uprażone ziarna łatwo kruszą się między zębami i szczerze mówiąc wydają się świetną przekąską do chrupania. Być może istnieją powody, dla których nie powinno się ich jeść w ten sposób (bo jakby nie patrzeć nie robi się tak na co dzień) - natomiast nasza kilkuziarnowa degustacja nie pozwoliła nam ich odkryć, o ile istnieją. Za to dowiedziałem się nareszcie, jak nazywają się kubańskie melony! Czerwony z nich to papaja, natomiast różowy to guawa. Równolegle z produkcją kawy zbierany jest miód z kwiatów kawowca. Kwiaty te są koloru białego, za to produkowany z nich miód jest mniej słodki, delikatniejszy. Do tropienia uli wykorzystywane są psy. W ulu wycinany jest okrągły otwór i część

zgromadzonego miodu jest wybierana. Tak oszczędne zbieranie pozwala pszczołom odbudować ul, przez co nie stają się narażone na wyginiecie z powodu utraty domu. Trzecim i ostatnim produktem plantacji kawy jest czterdziestoprocentowy rum. Podobnie jak każdy inny rum na Kubie, tak i ten produkowany jest z cukru trzcinowego, lecz tutaj dodatkiem są kwiaty kawowca. W ten sposób jest to hybrydowe rozwiązanie cukrowo-owocowe, jedyne takie w całym kraju. Zostaliśmy poczęstowani każdym z lokalnych produktów, lecz zamiast pitnej kawy dostaliśmy jedynie jej ziarna - stąd pomysł na pochrupanie ich. Odprowadzająca nas Pani zażartowała sobie, że na Kubie Polacy i Rosjanie znani są z ilości alkoholu jaki piją. Z przyjemnością odbiliśmy ten żart, że u nas również jesteśmy z tego znani. Kieliszek (wykonany z bambusa!) rumu wypiliśmy na jeden raz, bez popicia. Na ten widok dwójka Belgów została poinstruowana, aby wypić go powoli. Nie wiem, czy miało to oznaczać, że ominęła nas część walorów smakowych, czy była to raczej obawa, że Belgowie się zakrztuszą, i chyba wolę nie szukać odpowiedzi na to pytanie. Zostaliśmy również poczęstowani sokiem z trzciny cukrowej, który smakował niemalże identycznie jak mleko z cukrem. W napój włożona była laska trzciny cukrowej, którą można było pogryźć (i nie zalecane jest połykać, ponieważ jest bardzo włóknista i podejrzewam, że nasz ludzki układ trawienny mógłby sobie z tym nie poradzić). Sok z trzciny cukrowej smakował dużo bardziej jak trzcina cukrowa niż sama trzcina cukrowa.

Po chwili na dokończenie napoju wróciliśmy na konie

i ruszyliśmy w dalszą trasę. Jeśli na chwile zdążyliśmy zapomnieć o tym, jak piękne są widoki Narodowego Parku Kubańskiego, to teraz znów uderzyło w nas to z pełną siłą. Nasza trasa poprowadzona była przez płytką rzekę, a gdy się do niej zbliżaliśmy, przewodnik zażartował żebyśmy uważali na anakondy i krokodyle. Koń krocząc przez wodę chlapie wszędzie naokoło. Nie jest to problemem, ponieważ na pasażera nie pada przez to ani kropla wody czy błota. Jest tu jednak pewne uogólnienie: na pasażera konia, który akurat chlapie. Pasażerowie koni dookoła są ochlapywani. Jazda na koniu przypomina mi jazdę samochodem na autopilocie. Koń sam zwalnia przed każdą dziurą, nie urwie koła na nierównościach. To bardzo wygodne rozwiązanie, jadąc na zwierzęciu można mu zaufać. Dla mnie najbardziej przerażające było zjeżdżanie z góry, po nierównej ziemi. Sam ostrożnie i powoli schodziłbym taką trasą, za to koń poruszał się swoim zwykłym marszem, w dodatku mając na plecach pasażera. Następny postój zrobiliśmy nad jakimś jeziorem - w tym momencie pisząc to żałuję, że nie sprawdziłem na mapie jak się nazywało. Przewodnik pokazał nam sposób w jaki przywiązał uprzęż konia do... stojaka na konie? Takiego płotku, przy którym stały i do którego były przywiązane. Węzeł ten miał charakter teleskopowy, to znaczy można było dołożyć dowolną liczbę powtarzających się elementów węzła, co skracało pozostałą, wiszącą w powietrzu linę. W pobliżu jeziora był bar, w którym zamówiliśmy sobie zapiekanki z jajkiem. Jedliśmy je ostrożnie, nie dotykając rękami, ponieważ każdy z nas wcześniej doty-

kał koni. Gdy zjedliśmy i wypiliśmy zamówione lemoniady z kruszonym lodem, ruszyliśmy dalej. Nasz przewodnik kazał nam na siebie czekać tym, że kontynuował jakaś z pewnością fascynująca opowieść, opowiadaną swoim znajomym, z której ja nie rozumiałem ani słowa. Gdy już skończył, pożegnał się z nimi i ruszyliśmy w ostatni tour, z powrotem na rancho. Oddaliśmy konie i wsiedliśmy do auta, po czym wróciliśmy do pokoju.

Po orzeźwiającym prysznicu, zapakowaliśmy się znów w auto i pojechaliśmy w miejsce, które Hose pokazał nam na mapie jako wypożyczalnia łódek. Na niebie robiło się coraz ciemniej, pojawiały się chmury zwiastujące burze. Parking przy „wypożyczalni łódek” okazał się być płatny, za to dzięki temu od poborcy opłat dowiedzieliśmy się, gdzie ta atrakcja właściwie się znajduje, bo sam parking znajdował się przy zwykłym przydrożnym barze. Zgodnie ze wskazówkami przeszliśmy 200 metrów dalej, gdzie znajdowała się kolejna kasa biletowa, z opisem określającym ją jako „wycieczkę po jaskini”. Kupiliśmy dwa bilety i podążając za drogowskazami odnaleźliśmy wejście do jaskiń. W środku roilo się od zdumiewająco pięknych skał osadowych. Chodnik oznaczony był przez dwie żółte linie, których położenie wybrano tak, by zagwarantować bezpieczeństwo odwiedzających. W moich oczach wykracza to daleko poza kubańskie standardy bezpieczeństwa. Możliwe, że kiedyś wydarzył się tu jakiś wypadek. Albo kilka. Nasza piesza wędrówka przez jaskinie kończyła się schodami w dół - w kierunku rzeki. Tam cyklicznie podpływała łódka napę-

dzana motorem, zbierająca posiadających bilet turystów. Wsiedliśmy i popłynęliśmy w głąb jaskini. Sternik pokazywał nam zielonym laserem istotne punkty na ścianach, ale o ile na początku spodziewałem się, że będą to faktyczne elementy historyczne jaskini, tak sądząc po „wiszącej świni” i „ogromnej twarzy”, były to chyba jedynie skamieliny o różnych kształtach, a nie faktyczne zachowane w kamieniu obiekty. Wśród nich był także konik morski, palma i kilka innych których nie wychwyciłem z angielskiego opisu ubarwionego hiszpańskim akcentem. Najbardziej zjawiskowym momentem wycieczki było wypłynięcie z jaskini - przed nami przez szczelinę wyłaniała się jasna furтка na zielony botaniczny świat zewnętrzny. Zaraz za nią wycieczka się kończyła. Jaskinie były przepiękne, lecz spodziewaliśmy się, że całość potrwa dłużej niż 30 minut. Właściwie to spodziewałem się, że wypożyczymy łódź, którą samowolnie popłyniemy po jakimś jeziorze.

Po wyjściu z przystani zaczęło grzmieć, a potem stopniowo kropić. Dotarliśmy do samochodu i pojechaliśmy za-tankować. Jutro rano planujemy wyjechać do Cienfuegos. Na stacji benzynowej okazało się jednak, że nie wolno nam tam tankować. Obsługa stacji wskazała nam stację, na której będzie to możliwe: 25 km dalej w Pinar del Rio. Nasza trasa i tak przebiegała przez ten punkt, ponieważ tam zaczynała się autostrada A4, którą planowaliśmy jechać. Paliwa mieliśmy oczywiście dość, natomiast stacje benzynowe na Kubie nie są specjalnie częste, do tego nie niedzieliśmy, które z nich w ogóle mogą nam sprzedać paliwo. Jest to

jakiś punkt ryzyka całej wycieczki. W końcu ciężko będzie nam poruszać się po Kubie, gdy stacje konsekwentnie będą nam odmawiać sprzedaży. Wróciliśmy zatem do pokoju, dokonaliśmy szybkiego przepakowania i ruszyliśmy pieszo na kolację. Tym razem nie chcąc trafić na słabą restaurację tak jak wczoraj - poszliśmy prosto w miejsce, gdzie ostatnio piłem Tę Wyborną Pinacoladę. W drodze tam rozpadał się deszcz, ale nie była to żadna ulewa, a temperatura powietrza nawet w czasie opadu była bardzo przyjemna. Śmialiśmy się na głos widząc uciekających Kuibańczyków, że chcielibyśmy mieć w Polsce takie deszcze. Mokrzy usiedliśmy w restauracji i zamówiliśmy po drinku, w międzyczasie wertując menu. Ja na kolację zamówiłem smażonego kurczaka, Kozi natomiast stek wołowy. Wizualnie jego dzisiejszy posiłek można byli porównać z wczorajszym, natomiast smakowo był bardzo dobry. Tak samo zresztą jak mój. Koziemu do jedzenia podany został także nóż ząbkowany - jak przystało do czerwonego mięsa. Ta restauracja sprawowała się rzeczywiście dużo lepiej niż poprzednia. Obok nas jakaś rodzina zamówiła przekąskę w postaci grzanek z guacamole. Podejrzewam, że z jednego awokado zrobili dwie porcje, ponieważ na koszt firmy i my zostaliśmy poczęstowani taką samą przekąską. Guacamole było bardzo dobrze zmielone - na idealnie kremową konsystencję. Zgaduję, że restauracja dysponuje wysokiej jakości blenderem. W tym samym prognozuję sukces ich pinacolady - zarówno lód jak i kokos (którego drobinki rzadko, ale jednak, dało się wyczuć w napoju) były zmielone na

Słowo Cuba oznacza miejsce, w którym są góry i żyzne ziemie

kremowa masę. Kolacja i dwie pinacolady to duża porcja. Oboje wracaliśmy do pokoju pieszo z pełnymi brzuchami i nadal mokrymi od deszczu kołnierzami.

Dzień 4 - Drogi na Kubie bywają złudne jak pralka w kartonie

Komary na Kubie zachowują się jakoś inaczej niż nasze. Polski komar z przyjemnością wbiłby we mnie swoje kły i uctował moim kosztem. Dzisiejszego poranka komar obudził mnie swoim bzyczeniem (które identycznie jak komara polskiego słyhać dopiero, gdy jest blisko lub gdy panuje cisza), ale nie byłem nigdzie pogryziony. Pobudka ta nastąpiła na długo przed śniadaniem, na szczęście Kozi również nie spał - wczoraj położył się spać w okolicy kubańskiej godziny siódmej wieczorem, więc równie wcześnie co ja obudził się wyspany. Poranna pogawędka, najpierw cicha stopniowo nabierała głosu, aż urosła do na tyle głośnej, że ktoś zapukał do drzwi pokoju. Ściszyliśmy ton, ale nastąpiło drugie pukanie, więc uciszyliśmy się zupełnie. Widocznie komuś przeszkadzaliśmy i będzie nam dane dokończyć rozmowę dopiero później, przy śniadaniu. Minęło parę chwil i przeszła mi przez głowę myśl o spojrzeniu na to z trochę innej strony: a co jeśli to obsługa słysząc, że nie śpimy, wołała nas na śniadanie? Wychyliliśmy się, by to sprawdzić.

Stół faktycznie był nakryty, ale pusty. Ubraliśmy się zatem i ruszyliśmy na śniadanie. Było bardzo podobne do wczorajszego: talerze z krojonym ananase, bananem, papają i guawą. Identyczny ser żółty i tajemniczy produkt kategorii okołomiesnej, którego dziś również żaden z nas nie spróbował. Zamiast grzanecek był świeży chleb. Do tego masło, jajecznica, kawa, sok z mango, mleko. Dodatkiem odróżniającym dzisiejsze śniadanie od wczorajszego był pieróg z ciasta francuskiego z odrobiną dżemu w środku. Zarówno dziś, jak i wczoraj komar usiadł na kawałku papai i popijał jej sok. Może kubańskie komary piją sok z owoców zamiast krwi? Albo może my pachniemy dla nich zbyt egzotycznie i boją się spróbować. Tak czy inaczej: odpowiada mi to. Zapłaciliśmy Pacho za nocleg i wyruszyliśmy w dalszą podróż. Dziś musieliśmy pokonać trasę do Hawany i jeszcze drugie tyle, aż do Cienfuegos. Łącznie około 5 godzin jazdy. Natomiast pierwszym etapem trasy było dotarcie do stacji benzynowej w Pinar del Rio. Pełni nadziei, że przynajmniej tam uda nam się kupić benzynę, przemierzaliśmy wąskie szosy. Przed nami wlekła się stara szara Toyota Yaris - jej kierowca jechał bardzo zachowawczo. To prawda, że zakręty były dosyć ostre i bardzo częste, ale stan nawierzchni był całkiem dobry. Podejrzewam, że w przeciwieństwie do naszego, jego samochód mógł nie mieć wystarczająco sprawnych hamulców, a to brzmi jak rozsądny powód, aby jechać powoli. Na Kubie niewielu mieszkańców może pozwolić sobie na samochód. Pewnie jest z tym podobnie jak u nas: samo kupno samochodu jest dla nich

sporym wydatkiem, ale równie uciążliwe są ciągle opłaty za naprawy i paliwo. Kubańskie samochody psują się dużo częściej niż nasze, zwyczajnie dlatego, że ich średni wiek jest zdecydowanie dłuższy. W podróży z Viñales do Cienfuegos widzieliśmy mnóstwo aut zatrzymanych przy drodze i przechodzących jakieś naprawy, często z podniesioną maską. Drugą grupę zaparkowanych w szczerym polu samochodów stanowią te zupełnie porzucone. Najprawdopodobniej oczekujące na powrót właściciela z narzędziami lub częściami zamiennymi. Gdy dotarliśmy na stację benzynową, ustawiliśmy się w kolejce do dystrybutora. Widząc to właściciel zaczął machać do nas ręką. Jak się po chwili okazało, na szczęście nie miał na myśli tego, że nie uda nam się znów zatankować, a jedynie to byśmy skorzystali z innego dystrybutora. My bowiem ustawiliśmy się po benzynę 90-cio oktanową. Nasz samochód za to wymagał minimum benzyny 94-ro oktanowej. Liczba oktanowa świadczy o czystości paliwa (ale rzadko ma przełożenie na kaloryczność spalania!) z punktu widzenia obecności łańcuchów węglowodorów o długości z odpowiedniego zakresu. Im paliwo ma więcej oktanów, tym jest bardziej odporne na przedwczesne spalanie w silniku (tak zwane spalanie stukowe, które jest słyszalne w formie stukania). Zacząłem się zastanawiać, czy stacja benzynowa w Viñales odmówiła nam zatankowania z powodów prawnych, czy nie mieli odpowiedniego paliwa? Bez odpowiedzi na to pytanie ruszyliśmy w dalszą trasę. Z powodu wysokiej ceny benzyny (w porównaniu ze średnimi kubańskimi zarobkami. Benzyna na Kubie kosztuje prawie

tylko samo, co w Polsce), wiele ludzi porusza się autobusami (które często są przepełnione), tak zwanymi taxi colectivo (czyli taksówką, ale przewożąca wiele ludzi na raz - często między miastami) lub autostopem. Często ciężarówki z naczepą zbierają wielu autostopowiczów, którzy później stoją tłumem na tej naczepie. Jeżdżąc kubańskimi drogami można zauważyć, że właściwie każde miejsce przy drodze okryte cieniem gromadzi przynajmniej trzech autostopowiczów. Niektórzy po prostu stoją, inni machają rękami, ostatnia zaś - najmniej liczna grupa - macha rękami trzymając 1 cuc. Dzieci dostają się do szkół za pomocą szkolnych autobusów. Na Kubie są trzy autostrady: A1, A3 i A4. Dokładnie przeszukałem mapę w poszukiwaniu tej brakującej, lecz bezskutecznie. Historia jej zaginięcia jest mi więc nieznana. Autostrady są w całkiem dobrym stanie. Jadąc nimi konsekwentnie poruszaliśmy się około 100 km/h - co świadczy o jakości nawierzchni. Autostrady mają tu 3 pasy w każdym kierunku, w porównaniu do 4, czyli są zdecydowanie większe niż te w Polsce. Jest na nich za to mały ruch, ponieważ na Kubie ogólnie jest mało samochodów. Przez większość trasy mieliśmy do dyspozycji wszystkie trzy pasy dla siebie, co często wykorzystywaliśmy by omijać nierówności w drodze, najczęściej kilkucentymetrowe dziury. W każdym jednak momencie może trafić się taka, której głębokość jest wystarczająca by wyszarpać kierowcom koło. Przypomina mi to pewną miejską legendę: pewien kierowca widząc karton na swojej drodze zechciał w niego uderzyć, roztrzaskać, w końcu to tylko karton. I okazało się, że w

środku kartonu byka pralka.

Drogi na Kubie bywają złudne jak pralka w kartonie.

Kubańskie autostrady sprawiają wrażenie czasami naprawianych, o czym mogą świadczyć płyty asfaltu nakładane na różne miejsca, w których pewnie wcześniej znajdowały się zabójcze dziurska. W samej okolicy Cienfuegos dziury były zasypywane pomarańczowymi kamyczkami, co trochę poprawiało stan nawierzchni, za to groziło uderzaniem kamyczków po podwoziu samochodu. No i hamowanie na tur-lających się pod kołami kamyczkach bywa problematyczne. Kilkukrotnie znaleźliśmy się w miejscu, w którym całe dwa kierunki trzypasmowej drogi (razem 6 pasów i pas „zieleni” z brudnego asfaltu na środku) był jedną wielką łatką. Dzięki temu, że ruch drogowy był mały, mogliśmy swobodnie omijać drogowe pułapki. Ale jeśli na drodze pojawiał się inny samochód, to brak namalowanych pasów ruchu utrudniał wyprzedzenie go. W końcu w każdej chwili mógł tak jak my próbować ominąć dziurę, jednocześnie uderzając w wyprzedzających go nas, bo przecież nie zjechał ze swojego pasa jazdy - nie było ich w ogóle. Kozi podsumował to stwierdzeniem: „fajne pasy, takie nienamalowane”. Na Kubie nie ma zbyt wielu samochodów, więc powietrze mogłoby być czyste. Kubańczycy radzą sobie z tym w ten sposób, że te które akurat już jeżdżą po drogach, wydają ogromne ilości, często mocno czarnych lub niebieskich spalin. Nawet

4 auta na drodze potrafią zagwarantować chmurę dymu obejmującą całą dostępną przestrzeń. Przy drogach, jak w każdym innym miejscu Kuby znajdują się uliczni handlarze (przy autostradach również!) oferujący swój drobny asortyment. Najczęściej widać ludzi trzymających metrowe wiązki cebuli i czosnku, ale są też kolorowe napoje i ludzie z tajemniczymi pudełeczkami wielkości dwóch cegieł, których zawartość do dziś pozostaje dla mnie zagadką. Kiedy zegnaliśmy się z Pacho, dostaliśmy od niego kartkę z adresem jego znajomych, którzy w Cienfuegos posiadają pokój do wynajęcia. Okazało się, że właścicielką pokoju jest kobieta w okolicy czterdziestki, której później nadaliśmy imię Rejczel. Rejczel chciała od nas 30 dolarów za noc, co było najwyższą do tej pory ceną. Korzystając z translatora napisaliśmy jej, że to dla nas za dużo i możemy zaoferować 20 albo pójdziemy szukać gdzie indziej. Na Kubie jest mnóstwo pokoi do wynajęcia, które we wrześniu w większości stoją puste. Rejczel próbowała krakowskiego targu, ale dla nas każda kwota pośrednia również była nie do zaakceptowania, w końcu Gonzales w centrum Hawany wziął od nas 14 dolarów za noc. Koniec końców udało nam się dojść do porozumienia, bowiem planowaliśmy rano zjeść tu też śniadanie, które wszędzie, gdzie byliśmy bywało dodatkowo płatne - stąd sumaryczna kwota zadowoliła Rejczel. Ta sytuacja natchnęła mnie pewnym przemyśleniem: wolnych pokoi jest mnóstwo, a Kubańscy bardzo potrzebują dodatkowych źródeł pieniędzy. Może wystarczyłoby targować się z Kubańczykami, aż zniżą cenę do 10 dola-

rów? Dla nich to i tak o 10 więcej, niż odmawiając całkowicie. Żaden z nas nie ma za to serca, aby tak żerować na Kubańczykach, chcemy tylko nie przepłacić za nocleg. Cienfuegos nazywane jest kubańskim Paryżem. Ulice tutaj są przepiękne! Domostwa mieszczące się w centrum są piętrowe, przepięknie ozdobione z zewnątrz. Zdecydowanie wolałbym spędzić pierwszy dzień na Kubie tutaj niż w Hawanie. Tak jak wszędzie co krok widać sklepiki, tak tutaj zdecydowana większość to małe galerie sztuki, muzea i wystawy. Przemierzając pieszo ulice brakowało mi chyba tylko ulicznych grajków.

Wyjeżdżając na Kubę ciężko było nam przewidzieć, ile pieniędzy będziemy potrzebować. Nasz plan podróży przewidywał proste rozwiązanie tego problemu: weźmiemy jakąś niedużą kwotę na start, a później wybierzemy więcej przez zwykły bankomat. Te na Kubie działają tak samo jak nasze i realizują wypłaty zarówno kart Visa jak i Mastercard. Dotarliśmy do banku, którego ochroniarz wskazał nam drogę do bankomatu. Tutaj zaczęły się schody. W znaczeniu metaforycznym oczywiście, bo bankomat był na poziomie ulicy. Żadna z dwóch kart nie pozwoliła Koziemu wypłacić pieniędzy. Moja z kolei działała, ale na swoim koncie mam jedynie opary środków oczekujące na dziesiątego września. Byłem z Kozim umówiony tak, że do tego czasu będzie mógł mi pożyczyć, a potem ja będę dalej finansował wycieczkę. Zdezorientowani ruszyliśmy w kierunku starego rynku, próbując odnaleźć się w tej sytuacji. Stopniowo rozdrapując odmęty pamięci, Kozi przypomniał sobie, że ma

na swoim koncie blokadę wypłacania poza Europą, o której najzwyczajniej w świecie zapomniał. Usiedliśmy na środku rynku, który na mapie figuruje pod nazwą Parque Central de José Martí. Koziemu przyszedł z banku sms o podejrzanej aktywności konta i prośby kontaktu z infolinią. Płacąc za połączenie jak za złoto, dowiedzieliśmy się, że faktycznie blokada jest aktywna, a co więcej z powodów bezpieczeństwa nie możemy jej dzisiaj zdjąć, dopiero jutro obsługa karty się odblokuje i znów przyjdzie nam zadzwonić na infolinię, aby wyłączyć zabezpieczenie. Kozi potrzebował chwili, aby się uspokoić, więc ja przeszedłem się spacerem pod pomnik na środku rynku. Przepisałem wyryte na nim słowa do translatora, ale nie była to żadna informacja historyczna, a jedynie wiersz o poświęceniu dla ojczyzny. Gdy się odwróciłem, do Koziego zagadywał już Kubańczyk, którego sam Kozi nazwał „Człowiekiem o łysych włosach”. Podszedłem do nich, a Kubańczyk przedstawił się, że ma na imię Pablo i czeka na córkę wracającą ze szkoły. Spytałem go kim jest osoba przedstawiana przez pomnik i dowiedzieliśmy się, że to tytułowy José Martí - kubański bohater narodowy z końcówki drugiej epoki w dziejach Kuby - hiszpańskiego kolonializmu. Walczący o niepodległość kraju.

Gdy odchodziliśmy, Pablo zaczął na pożegnanie żebrać od nas pieniądze na lody dla swojej córki. Zniesmaczeni rozpoczęliśmy przemierzanie Cienfuegos w poszukiwaniu obiadu. Przygotowany plan zakładał odwiedzenie słynnej miejscowej restauracji i tak też zrobiliśmy. Oboje zamówiliśmy sobie po lokalnym specjale: Zupie Domu, a na drugie

danie ja poprosiłem o kurczaka w miodzie, Kozi natomiast szarpaną wołowinę. Zupa była pyszna, o bardzo intensywnym smaku, który ciężko mi opisać. Była to najprawdopodobniej mieszanka przypraw, którą mój język zakwalifikował jako kategorię „do kurczaka”. Mój kurczak z kolei nie robił już takiego wrażenia. Była to porcja najzwyczajniej usmażonego kurczaka polanego miodem, podana z ziemniakami. A dokładnie z jednym ziemniaczkiem. Danie Koziego było trochę lepsze, ale nawet nie na tyle, abym zgodził się z panującą opinią, że to miejsce jest perłą miejscowych kulinariów. Cienfuegos mieści się w sercu zatoki wpadającej do Morza Karaibskiego. Nazwa zatoki nie jest mi znana, ponieważ brakuje jej na mapie. Zatem tam właśnie się skierowaliśmy. Przeszliśmy znaczny kawałek miasta pieszo i udało nam się znaleźć dojście do plaży. Nie było to takie proste, bo co chwilę dostęp blokowany jest przez prywatne rezydencje i hotele, które zaskarbiają sobie ją na własność. W budce, która wyglądała raczej jak budka dj’a, udało nam się kupić zimne piwo i usiedliśmy na kawałku betonowego nadbrzeża mocząc rozkosznie nogi. Trwało to zdrowo ponad godzinę. W planie na dzisiejszy dzień mieliśmy jeszcze spacer na Punta Gorda, gdzie można spróbować rzekomo najlepszego mojito na Kubie. W pełnym słońcu ruszyliśmy przed siebie i po długich minutach marszu dotarliśmy na południowy przylądek Cienfuegos. Zamówiliśmy dwa napoje i niecierpliwie oczekiwaliśmy na ich podanie. I okazały się... średnie. Drink może byłby dobry albo przynajmniej dałoby się poczuć smak, gdyby ilość alkoholu nie była taka

przesadzona. Przesadzona do tego stopnia, że po większym łyku paliła całą jamę ustną. Wcześniej padł nawet pomysł przetestowania nauki hiszpańskiego metodą Hose, ale widząc faktyczny stan rzeczy, skończyliśmy na jednym drinku zamiast pięciu. Wróciliśmy za to do pokoju i skorzystaliśmy z dobrodziejstw posiadłości Rejczel. Z „hotelowej” lodówki wyciągnęliśmy po puszcze piwa i weszliśmy do basenu znajdującego się przy samiutkich drzwiach naszego pokoju.

Dzień 5 - Tak dobrze żarło, a zdechło

Dzisiejszy dzień przywitał mnie zaskoczeniem: komary w Cienfuegos gryzą. I to do tego całkiem obficie! Spod kołdry wystawały mi jedynie stopy, ale to wystarczyło komarom pokąsić mnie w blisko 7 miejscach. Z samego rana Kozi zadzwonił na infolinię banku i odblokował swoją kartę, więc zaplanowaliśmy wypłacić pieniądze w Trinidadzie. Śniadanie u Rejczel było najmniej obfite w owoce ze wszystkich do tej pory, za to wyróżniało się pysznym tostem z szynką i serem z opiekacza. Podano nam również cały dzban smothie z guawy, więc napoju tego mieliśmy pod dostatkiem.

Przed wyjazdem chciałem jeszcze powyrzucać plastikowe butelki, które zostały nam po wodzie. Pokój u Rejczel był pierwszym, który posiadał mały aneks kuchenny i gdy szukałem śmietnika, potwierdził moje obawy: posiadanie śmietnika pod zlewem jest typowo polskim zwyczajem, nie kubańskim. Nasze plastikowe śmieci powędrowały do jedynego kubelka: w łazience. Zapłaciliśmy, spakowaliśmy torby do auta i pojechaliśmy do Trinidadu. Żaden ze mnie botanik, ale zauważyłem, że zdecydowana większość kubańskiej

roślinności liściastej stanowią gatunki z małutkimi listkami. Palmy z długimi wąskimi liśćmi, drzewa z listkami przypominającymi te z jarzębiny. Podejrzewam, że taki kształt liści pozwala roślinie zatrzymać dużo więcej wody, a raczej od drugiej strony: obszerne liście o dużej powierzchni powodują jej dużą utratę. Nie ma tu za to typowo polskiej roślinności iglastej, czego idąc tym tropem nie potrafię już wytłumaczyć. Na pewno istnieje ku temu jakiś powód i być może jest nim moje błędne rozumienie botaniki. Koniecznie sprawdzę to po powrocie do domu! Zapomniałbym wspomnieć: kilkakrotnie widziałem też względnie niskie palmy z ogromnymi liśćmi - wyjątek od tej reguły.

W drodze do Trinidadu Kozi zwrócił mi uwagę, że na gps'ie mijamy właśnie jakieś jezioro i jeśli skieruje obiektyw w prawo będę mógł uchwycić je na zdjęciu. To całkiem zabawne, bo tym jeziorem było Morze Karaibskie. I rzeczywiście wyglądało prześlicznie. W trakcie dzisiejszej jazdy zostaliśmy po raz pierwszy na Kubie zatrzymani przez policję. Oficer stojący przy drodze machnął na nas ręką, a my zjechaliśmy na pobocze i czekaliśmy aż podejdzie, zgodnie z procedurą naszego kraju (nie znamy żadnej innej!). Po chwili zwątpiliśmy, wrzuciliśmy wsteczny i podjechaliśmy do dwóch policjantów. Skręciłem szybę i próbowałem się dowiedzieć jaki był powód zatrzymania. Policjant wydobywał z siebie dźwięki jakby starał się odpowiedzieć mi po angielsku, ale akurat zapomniał wszystkie słowa. Po chwili zmagających samego ze sobą odpowiedział: „no problem, continue”. O ile to, że miejscowi machają nam, widząc samo-

chód z turystami, tak machający policjant był nieco wprowadzający w błąd. Może chodziło o to, że nie mieliśmy zapalonych świateł? Chyba już nigdy się nie dowiemy.

Trinidad nie okazał się najpiękniejszym miastem na Kubie. Nie był też najbrzydszym (Hawana jest w rzeczy samej niezrównana). Zaraz po przyjechaniu zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, ponieważ jest piątek i niewykluczone, że kolejną okazję zatankować możemy mieć dopiero w poniedziałek. Kolejka do budki opłat składała się z trzech osób włącznie z Kozim, a jednak czas oczekiwania wyniósł nas blisko 20 minut. W takich chwilach zawsze zastanawiam się, jak to jest możliwe, że załatwiając sprawę w polskim urzędzie każda osoba stoi przy okienku 20 minut, a gdy nadchodzi moja kolej, to obsługa zajmuje 30 sekund. Co Ci ludzie robią przy tych okienkach? To chyba jakaś komunistyczna umiejętność, której moje pokolenie już nie pozna. Kubańczycy natomiast opanowali ją bardzo dobrze. W poszukiwaniu noclegu pojechaliśmy na przedmieścia leżące przy morzu. O ile miasto wyglądało jak płatanina niebezpiecznych dzielnic, tak przedmieścia były jeszcze gorsze. Zrezygnowaliśmy i wróciliśmy do centrum Trinidadu kierując się mapami offline, w których wypatrywaliśmy punktów z wysokimi ocenami. Nie zawsze nam się to sprawdzało, ale przynajmniej był to jakikolwiek punkt wyjścia w poszukiwaniach. Wybraliśmy możliwie wysoko oceniony nocleg i podjechaliśmy tam, zaparkowaliśmy auto na ulicy i dalej ruszyliśmy pieszo. Jak się okazało - w tym miejscu nie było w ogóle noclegu, a jedynie restauracja. W dodatku

pod zupełnie inną nazwą. Ponownie otworzyliśmy mapę i skierowaliśmy się do kolejnej dobrze ocenionej lokalizacji w okolicy. Tym razem okazało się, że pokój faktycznie istnieje i w dodatku jest wolny - jedynie został dopiero co zwolniony więc właśnie jest sprzątany. Właścicielka poczęstowała nas herbatą, aby umilić nam oczekiwanie. Nadaliśmy jej imię Dolores.

Nasz pokój znajdował się na piętrze i w środku był śliczny! Na półce stała mała skrzyneczka pełna muszelek. Udało mi się wygrzebać z portfela 1 polski grosz, bity w 2019 roku, który schowałem w skrzyneczce. Może kiedyś ktoś go odnajdzie i zabierze ze sobą jako talizman. Zarówno widok z okna pokoju, jak i tarasu był świetny! Dachy Trinidadu prezentują się zdecydowanie lepiej niż ulice. Oboje wzięliśmy prysznic i ruszyliśmy w kierunku banku. Jak się okazało - nadal nie mogliśmy wypłacić pieniędzy z bankomatu. Kozi zaproponował, abyśmy weszli do oddziału banku i wypłacili przy okienku. Sam nie wierzyłem, że to się uda, ale może pracownik banku nakieruje nas co jest nie tak. Pojawił się tylko mały szkopuł - ochroniarz nie wpuścił nas do banku. Być może był to bank nie oferujący swoich usług turystom. Odszukaliśmy na mapie bank o możliwie miłobrzmiącej dla nas nazwie: Banco de Financiero International, i tam właśnie się udaliśmy. Usiedliśmy w klimatyzowanym pomieszczeniu i oczekiwaliśmy na swoje miejsce w kolejce. Gdy już się doczekaliśmy, wypłata oczywiście się nie powiodła, nie niosąc w dodatku żadnych wskazówek. Ja czułem się spokojny - zawsze możemy skontaktować się

z kimś z Polski, aby przelać pieniądze z konta Koziego na moje i wypłacić. Przelew taki musiałby tylko być ekspresowym, bo oczekiwanie na środki spauzowałoby nam podróż. Kiedy wychodziliśmy ochroniarz banku zalecił nam, abyśmy poszli do punktu telekomunikacyjnego i kupili kartę Internetową. Karta taka pozwala podłączyć się do jednej z wielu lokalnych sieci Wi-Fi (a następnie zalogować danymi z karty). Tak też zrobiliśmy i ku naszemu zdziwieniu karta kosztowała tylko 2 kubańskie dolary. Łącznie dzwoniąc na infolinię koszt połączeń wyniósł już jakieś 150 zł, za to kartę można było też odblokować przez Internet w cenie 8 zł. Rachunek ten odbił się złością na Kozim. Posiadając jednak kartę Internetową Kozi wykonał z telefonu przelew środków na swoje drugie konto w obrębie tego samego banku, więc natychmiastowo. Następnie poszliśmy znów spróbować szczęścia w Banco Internacional. Gdy już siedzieliśmy w środku oczekując na swoją kolej, światła w banku pogasły (ale nie było ciemno, w końcu to środek dnia). Pomyślałem sobie, że mamy strasznego pecha - jak już ma nam się udać, to akurat trafi się awaria prądu. Kozi skomentował to tylko kwestią:

„Tak dobrze żarło, a zdechło”

Minęło może 10 minut i zasilanie wróciło. Światła znów się zapaliły, a bank powoli wracał do życia. Nadal trochę to trwało, w końcu cała infrastruktura komunikacji finansowej musi powstawać. Jediną rzeczą, która nadal nam się

nie udała była wypłacona kwota, bowiem tylko część zamierzonych pieniędzy bank pozwolił nam wybrać. Wynikało to pewnie z limitu na karcie, ale możemy codziennie wypłacać kolejną część, więc naszej podróży nic już nie zagraża. Świętując zażegnanie kryzysu wybraliśmy się na obiad do wysoko ocenionej (w rankingu map offline) restauracji. Wnętrze było ślicznie urządzone, z dużą dozą roślinności. Obok naszego stolika stał drewniany moździerz do kawy - pilon. Już na wejściu zamówiliśmy drink będący specjalnością domu, aby nie czekać na niego aż przewertujemy menu. Okazał się nim niezmieszany sok pomarańczowy z rumem. To połączenie tak przypadło mi do gustu, że napisałem je sobie na liście drinków, które chce nauczyć się robić. Na obiad zamówiłem sobie zupę serową, szarpaną wieprzowinę w sosie pomidorowym i karmelowy deser. Kozi natomiast poprosił o zupę pomidorową, wołowe vindaloo i waniliowe lody. Cały posiłek reprezentował bardzo wysoki poziom i nie dziwię się, że restauracja miała taką wysoką ocenę. Lody wprawdzie były w połowie waniliowe, a w połowie kokosowe, ale nie określiłbym tego jako wadę. Mój karmelowy deser z kolei okazał się puddingiem zatopionym w karmelu.

Z napełnionymi brzuchami ruszyliśmy obejrzeć Trinidad z punktu widokowego, który znajdował się na szczycie lokalnej wieży. U jej stóp okazało się, że jest to muzeum. Kupiliśmy więc bilety i powoli rozpoczęliśmy zwiedzanie. Owe muzeum posiadało wystawy zdjęć przedstawiających wydarzenia jak mierniam związane ze szkolnictwem. Są to

jednak tylko domysły, bo zdjęcia nie były podpisane, a jedynie przy niektórych widniała data. Najstarsze zdjęcia datowane były rokiem 1905, więc początkiem ery okupacji Stanów Zjednoczonych. Najwięcej zdjęć było z czasów przed samą rewolucją, w latach około 1950-1958, więc podejrzewam, że Trinidad mógł odgrywać istotną rolę w całym procederze. Weszliśmy w końcu schodami na szczyt wieży. Wieża ta wyposażona była w dzwon o około metrze wysokości oraz metrze średnicy. Wydaje mi się, że cały budynek był Kubańską szkołą, a dzwon ten służył do wzywania dzieci do nauki. Gdy już nacieszyliśmy się tym widokiem zaczęliśmy schodzić na dół schodami, aby dotrzeć do ostatniego punktu naszego dzisiejszego planu: lokalnego drinka. W Trinidadzie lokalnym specjałem jest drink na bazie soku z limonki i miodu, z dodatkiem przedestylowanego tylko raz rumu. Nazywa się canchanchara, a my poszliśmy napić się go do miejsca o tej samej nazwie - baru Canchanchara. Napoje podali nam w glinianych miseczkach, z patyczkiem do rozmieszania miodu. Soku było tak dużo, że nawet dokładne rozpuszczenie miodu nie powodowało, że drink robił się słodki. Był za to bardzo orzeźwiający i podejrzewam, że to o to właśnie chodziło. W samym barze Canchanchara po podłożu z kamieni biegały luzem jaszczurki. Kozi naliczył ich 5, ale kto wie, ile z nich jeszcze tam było i odpoczywało w ukryciu. Zdecydowaliśmy się dodać jeden punkt do dzisiejszego programu: wejście na kolejny, tym razem najwyższy, punkt widokowy: Loma de la Vigia - górę piętrzącą się 180 m ponad miastem. Ruszyliśmy za-

tem w ponad 30-sto stopniowym upale pnać się po ścieżce prowadzącej na szczyt. Obrany szlak był dosyć prosty, ale temperatura i spory rozmiar obiadu niesionego w żołądku doprowadził mnie do stanu, w którym aby ukończyć wspinaczkę, musiałem ratować się nakryciem głowy z ręcznika zmoczonego wodą.

Na szczycie znajdowało się obserwatorium. Gdy tylko zbliżyliśmy się do jego bramy ukazał się nam przewodnik, który zaoferował chłodne napoje i zaprowadził nas na punkt widokowy na dachu. Żaden widok na Kubie nie był tak spektakularny jak ten. Zrobione tu zdjęcia wyszły pięknie, ale żadne z nich nie oddało nawet w 50% tego, co widziały oczy. Z jednej strony widać było jak na dłoni lokalne plantacje i manufaktury. Za nimi z kolei rozciągały się łańcuchy górskie. Z drugiej strony leżał Trinidad. Miasto z tej perspektywy mieniło się mnóstwem kolorów. Za nim z kolei błyszczało Morze Karaibskie. Wykończeni wchodzeniem zdecydowaliśmy się zejść bardzo powoli. Nigdzie się nie spieszyliśmy, była całkiem młoda godzina, a my zrealizowaliśmy już plan całego dnia. Po powrocie do pokoju wziąłem chłodny, orzeźwiający prysznic. W każdym z pokoi, w których byliśmy do tej pory była lodówka z piwem. Oczywiście płatnym, ale dzięki temu, że znajdowała się w pokoju, nie trzeba było iść po nie aż do sklepu. Pozostała jedynie kwestia tego, czy napić się w klimatyzowanym pokoju, czy na dusznym tarasie. Cóż... wypić piwo w chłodnym pokoju możemy w domu, a na tarasie z widokiem na dachy Trinidadu tylko tutaj.

Dzień 6 - Yes yes, this is my house

Odgłosy pracującej klimatyzacji Dolores były myląco podobne do przejeżdżającej ulicą ciężarówki. Gdyby nie fakt, że sam pokój znajdował się dosyć daleko od ulicy, a w dodatku był od niej oddzielony barierą dźwiękową w formie oddzielnego budynku, mógłbym zastanawiać się czy to na pewno klimatyzacja. Ale to była ona. Po raz pierwszy na Kubie przyszło nam śniadać w towarzystwie. Przy stole siedziała z nami mówiąca między sobą po francusku para. Śniadanie było podobne do każdego innego na Kubie. Wyróżniało się tym, że zamiast smoothie był (prosto z lodówki!) dzbanek soku z mango, a tost przyszedł w parze z grzaneczką z awokado. Na stole były też okrągłe herbatnikowe ciasteczka, ale były tak bardzo średnie, że prawie zapomniałem o tym wspomnieć. W nocy nasz zaparkowany na ulicy samochód był pilnowany przez lokalny patrol sąsiedzki. Wiem o tym dlatego, że przyszło nam za niego zapłacić trzy dolary.

Wyjeżdżając z Trinidadu zatrzymaliśmy się w banku, aby wypłacić kolejną porcję gotówki, zgodnie z dziennym

limitem transakcji. Tym razem udało się bez żadnych przeszkód - zupełnie nie w stylu naszych poprzednich styczności z bankowością na Kubie. Zapakowaliśmy się w auto i podążając za gps'em ruszyliśmy do Camegüey. Jednokierunkowe uliczki Trinidadu w końcu zebrały z nas swoje żniwo i udało nam się w jedną z nich wjechać pod prąd. Wywołało to burzliwą reakcję otoczenia: przechodnie zaczęli machać na nas rękami i wściekle gwizdać. Gdy zobaczyli, że mimo to próbujemy wyjechać w złym kierunku, dołożyli większych starań i machali dużo bardziej energicznie. Niestety - ich szamańskie zaklęcie nie obróciło nas w dobrą stronę. Co więcej - uciekając z tej jednokierunkowej uliczki udało nam się wjechać pod prąd w kolejną, co tylko bardziej rozjuszyło tłum. Na szczęście po chwili byliśmy już na właściwym torze i cała ta wrzawa ustała. To zabawne, że Kubańscy jeżdżą byle jak, kierunkowskazy traktują jako odświętną ozdobę samochodu, ale dostają białej gorączki widząc kogoś jadącego pod prąd na jednokierunkowej drodze.

Za Trinidadem nastąpiła dla nas spokojna trasa. Droga oczywiście była dziurawa, ale nie na tyle żeby trzeba było specjalnie zwalniać w obawie o utratę koła. Statystycznie rzecz ujmując - im bardziej górzyste są krajobrazy dookoła drogi, tam bardziej jest ona dziurawa. Droga do Camegüey była śliczna! Z trochę większego bliska oglądaliśmy teraz to, co wcześniej widzieliśmy z punktu widokowego. Mój tata - emerytowany kierownik logistyczny budownictwa drogowego - opowiadał mi kiedyś o profilowaniu zakrętów. Zakręt

powinien mieć takie nachylenie, aby siła dośrodkowa dociskała pojazd do nawierzchni. Dziś komputerowo sterowane maszyny kładą asfalt tworząc precyzyjnie dopasowany kształt profilu nawierzchni, ale kiedyś robione to było na oko i finalna jakość była „taka jak operatorowi wyszło”. Kubańskie budownictwo jest jeszcze na tamtym etapie rozwoju, a przynajmniej tak wnioskuję z przechylonych do zewnątrz zakrętów. Wspomniane przeze mnie wcześniej jedyne rośliny na Kubie posiadające ogromne rozłożyste liście okazały się być rośliną uprawną. Mijaliśmy jej plantację! Nie dopatrzyłem się za to na nich żadnych owoców, więc albo jeszcze nie owocuje, albo jej zbiory stanowią inną część rośliny albo jest już po zbiorach. Ta ostatnia opcja wydaje mi się najbardziej prawdopodobna.

Nasz pierwotny plan zakładał spędzenie w Trinidadzie dwóch dni, za to na ostatniej prostej do Hawany przewidywał czternastogodzinną jazdę. Postanowiliśmy go trochę przebudować, aby rozbić tak długi trip na dwa mniejsze, kosztem czego ucięliśmy wspomniny drugi dzień przeznaczony na plażowanie przy Morzu Karaibskim. Zamiast niego plażować będziemy w drodze powrotnej - nad Oceanem Atlantyckim.

W drodze do Camagüey przejeżdżaliśmy przez kubańską Florydę - miasto o właśnie takiej nazwie. Architektonicznie było bardzo podobne do Viñales, z tą jedną różnicą, że budynki były w iście hawańskim stanie agonalnym. Gdy dojechaliśmy do Camagüey, w pierwszej kolejności udaliśmy się na stację benzynową i na nasze nieszczęście - nie

Yes yes, this is my house

było tu benzyny 94-ro oktanowej. W związku z tym, że najbliższa stacja była dopiero na drugim końcu miasta - skierowaliśmy się do centrum w poszukiwaniu noclegu, a tankowanie odłożyliśmy na jutrzejszy poranek - przed wyjazdem. Wybraliśmy z mapy jeden o dosyć wysokich ocenach, nazywający się Casa Conchita („casa” oznacza po hiszpańsku „dom”, z kolei hostel wynajmujący turystom pokój to „casa private”). Przy wejściu zaczął nas przechodzić i spytał, czy nie szukamy noclegu. My natomiast chcieliśmy skorzystać z tego wybranego przez nas - w końcu ma wysokie oceny. Dlatego z niechęcią pokazałem mu telefon z mapą i spróbowałem wytłumaczyć, że to jest właśnie miejsce, które chcielibyśmy obejrzeć. Na co on odparł:

Yes yes, this is my house.

Zaskoczeni spytaliśmy się, czy możemy tu parkować - na ulicy, na co właściciel zmieszał się i zaoferował pokazać nam drogę na strzeżony parking. Wraz z nim pojechaliśmy uliczkami Camagüey na - jak się okazało - całkiem daleko leżący parking. I gdy już się tam zatrzymaliśmy, wręczono nam pokwitowanie i kazano opłacić opłatę parkingową w wysokości 10 dolarów kubańskich za noc. Nie wydało nam się to specjalnie uczciwe. W dodatku nikt nie spytał nas, jak chcemy dostać się z powrotem do pokoju, a jedynie zapakowano naszą walizkę i plecak Koziego na rowerową rykszę. Wsiedliśmy do niej i odjechaliśmy... bez wła-

ściciela domu. Taksówkarz pojechał w drogę powrotną zdecydowanie naokoło. Możliwe, że musiał tak jechać - drobne uliczki były jednokierunkowe. Mam za to pewne obawienia, że w ten sposób chciał zbudować iluzję długości trasy, bo za chwilę kazał nam zapłacić za podwózkę kolejne 10 kubańskich dolarów - kiedy my spodziewaliśmy się, że będzie to w cenie parkingu. Całe to przedsięwzięcie było już lekkim oszustwem. W dodatku staliśmy przy noclegu sporo oddalonym od naszego samochodu, więc jutro rano albo ruszymy pieszo z ciężkimi torbami, albo poprosimy o kolejną przepełnioną taksówkę. Oczekaliśmy parę minut, w trakcie których coraz bardziej narastało w nas przekonanie, że nocleg w tym miejscu to nie najlepszy pomysł. W końcu odeszliśmy w kierunku parkingu, poszukać pokoju bliżej. Z jednej strony tamten właściciel poświęcił swój czas, aby zabrać nas na parking - być może on nie widział w tym nic złego. Za to z drugiej strony nie dotknęliśmy jeszcze klamki pokoju, a już zapłaciliśmy przez niego równoważność jednego noclegu. Niemalże przy samym parkingu znaleźliśmy pokój u starszej kobiety, która po przyjęciu nas rozkosznie oznajmiła, że teraz jesteśmy jak rodzina. Postanowiliśmy nadać jej imię Conchita, co wydało nam się całkiem zabawne w perspektywie poprzedniego niedoszonego noclegu. Rozpakowaliśmy się i umyliśmy. Nasz plan przewidywał na ten dzień obiad w konkretnym miejscu: restauracji Rancho Luna - miejscu, w którym posiłki są tanie i jednocześnie całkiem dobre - a przynajmniej to wynikało z zebranych przez nas przed wycieczką informacji. Udaliśmy się tam

i zaczęliśmy przeglądać menu. Tak jak do tej pory każde było hiszpańsko-angielskie, tak tutaj było czysto hiszpańskie. Co więcej, wszystkie dania nazywały się „Table #n”, gdzie n było liczbą od 1 do 8. Losując na loterii ja poprosiłem o Table #4, Kozi natomiast wybrał jedynekę. Z bębna maszyny losującej trafiły mi się krewetki, ryż z szynką i szczypiorkiem oraz ugotowany batat. Koziemu natomiast danie identyczne oprócz krewetek, które zastąpione były kawałkami wieprzowiny z ogromną ilością tłuszczu z kolagenem. Posiłek taki bez wątpienia był niezwykle pożywny, ale i niezbyt atrakcyjny smakowo. Mój za to był całkiem dobry, ciężko mi było narzekać. Każda z naszych porcji kosztowała około 50 peso, czyli 2 dolary. Bez wątpienia jest to miejsce warte odwiedzenia! Po obiedzie wybraliśmy się na zwiedzanie Camegüey, trochę w ciemno. W samym centrum miasta znajdował się park, w sercu którego miała być jaskinia. Atrakcja ta wydawała nam się tak egzotyczna, że bez wahania zaczęliśmy od niej. Park faktycznie był w miejscu wskazanym na mapie, co ciekawe był to park z drzew iglastych! Wprawdzie gatunku, którego nigdy wcześniej nie widziałem, mającego w sobie coś z wierzby płaczącej. Po powrocie do kraju koniecznie dowiem się jak się nazywa! W samym środku parku znajdowało się coś, co z daleka przypominało wejście do groty osadzonej w górze. Tylko bez góry. Gdy podeszliśmy bliżej, wejście to okazało się poprawioną betonem konstrukcją, symbolicznie będącą jaskinią, wyścieloną w środku ozdobami. Przypominało trochę naszą szopkę bożonarodzeniową.

Następnym punktem wycieczki był skwer leśny pośrodku osiedli. Podejrzywałem, że był to jakiś zagajnik lub inne miejsce, pozwalające nam usiąść w cieniu i odpocząć od upału. W drodze tam mijaliśmy prawdziwy stadion, na którym właśnie odbywał się mecz! Do tej pory nie widziałem nigdzie na Kubie żadnych obiektów sportowych, jeśli nie liczyć boiska 5 na 5 metrów wyscielonego betonem, na którym dzieci podrzucały piłkę. Pod stadionem zaparkowany był autokar ze wsadzoną za szybę tabliczka opisana „béisbol equipo”, co pozwalało zgadywać jakiego sportu mecz właśnie trwa.

Leśny skwer, do którego dotarliśmy okazał się nie istnieć, więc skierowaliśmy się do ostatniego punktu harmonogramu - Parku Japońskiego. Przez około godzinę maszerowaliśmy na przedmieścia Camegüey, a gdy już tam dotarliśmy, naszym oczom ukazał się park imienia Camilo Cienfuegos. Park ten nie był japoński, był za to wesołym miasteczkiem przypominającym chorzowskie wesołe miasteczko sprzed 20 lat. Mogło to być spowodowane sobotnim popołudniem, ale park ten był w tym momencie nieczynny, a atrakcje pozamykane. Ochrona obiektu nie chciała nas w ogóle wpuścić, ale nie potrafili mówić po angielsku, a my po hiszpańsku, więc po chwili komunikacyjnych zmaganiń odpuścili nam i spacerkiem ruszyliśmy w głąb parku. Pełno tam było atrakcji w stylu klasycznych elektrycznych samochodzików do zderzania, kręcących się karuzel, a nawet jeden gabinet luster. Wszystko oczywiście pozamykane. Odpoczęliśmy chwile w cieniu i ruszyliśmy w drogę powrotną

do pokoju. Wracając wpadliśmy na pomysł, że moglibyśmy kupić sobie jakiś orzeźwiający złocisty napój na drogę. Rozglądając się za sklepem udało nam się znaleźć prawdziwą perłę kubańskiego handlu: supermarket. Weszliśmy do środka, wzięliśmy koszyk z kategorii tych mniejszych - trzymany w ręku. Wybraliśmy taki, ponieważ żadnego innego rodzaju nie było. Wystrojem sklep przypominał samoobsługowy magazyn Ikei, natomiast na półkach faktycznie znajdowały się produkty różnych kategorii, co dotąd było niespotykane na Kubie. Z relacji hawańskiego przewodnika wyniosłem, że i tam znajdują się takie sklepy - ale na całe miasto są tylko dwa i w dodatku niezbyt dobrze zaopatrzone. My rozbiliśmy się tu o podobny problem: o ile było tu kilka palet rumu różnego rodzaju, tak nie było ani jednej puszki piwa. Zrezygnowaliśmy wzięliśmy po puszcze jakiegoś bezalkoholowego słodzonego napoju i udaliśmy się do kas, a były aż dwie. Wychodząc ze sklepu musieliśmy jeszcze pokazać rachunek za wszystko co kupiliśmy, a na koniec kontroli nasz rachunek został przetargany. Sam napój był ciepły, co w połączeniu z tym, że był przesłodzony, sumarycznie niezbyt gasiło pragnienie. Słońce powoli zachodziło, więc korzystając z nareszcie niższej temperatury wybraliśmy się na drinka do baru w pobliżu noclegu. Trafiliśmy na tematyczną miejscówkę zewsząd obklejoną plakatami The Beatles. Przy wejściu przywitały nas posagi Paul'a, George'a, John'a i Ringo. Ku naszemu niezadowoleniu i tu nie było piwa. Zamówiliśmy za to pinacoladę i mojito, które okazało się bardzo dobre! Z przyjemnością

wypiliśmy jeszcze po dwa takie i wróciliśmy do pokoju. Nie było jeszcze specjalnie późno, bo powoli dochodziła godzina 21-sza, ale zmęczenie bezlitośnie pociągnęło mnie do snu.

Yes yes, this is my house

Dzień 7 - Najwyższy czas wyjechać z tego miasta

Klimatyzacja w pokojach, w których nocowaliśmy pracowała dosyć nierówno. Wieczorem, kiedy wracaliśmy, w pokoju było rozkosznie chłodno. Braliśmy prysznic i przy przejściu z łazienki do pokoju, nadal było przyjemnie. Nad ranem temperatura też była w sam raz. W środku nocy z kolei pokój magicznie znajdował się przez parę godzin na biegunie. Niezależnie od ustawień klimatyzacji. W okolicy godziny 2-giej w nocy robiło się strasznie zimno. Tej nocy nawet dość zimnolubny Kozi owinął się ciasno w narzutę i poszukiwał ciepła. Chyba jedynym rozwiązaniem jest wyłączać klimatyzację, gdy obudzimy się zmarznięci.

Śniadanie u Conchity oprócz zwykłych elementów tego posiłku na Kubie, zawierało rozcieńczony sok z mango, a zamiast szynki wyłożone były usmażone plasterki parówki. Podejrzewam, że tej samej, która stanowiła główny składnik hawańskich hot dogów w żółtej bulce z okienka. Smakowała jak każdy inny przetwór mięsny zawierający dokładnie każdą część świni, którą da się zmielić. Czyli każdą. Jak co

rano zapłaciliśmy i pożegnaliśmy się. Ruszyliśmy z bagażem na parking, który leżał około 50 m w linii prostej od nas. Odebraliśmy auto i pojechaliśmy zatankować, co było ostatnim punktem planu w Camegüey. Gdy Kozi tankował, ja uważnie obserwowałem mężczyznę, który podjechał rowerem pod dystrybutor, wyciągnął z plecaka plastikową butelkę, wsunął w nią dyszę i nacisnął spust. Średnica dyszy była minimalnie węższa od średnicy otworu butelki, a dystrybutor wstrzykiwał paliwo w tempie niemal litra na sekundę. W rezultacie opryskał on paliwem cały dystrybutor oraz siebie - głównie po twarzy. Niestrudzenie wyciągnął z plecaka drugą butelkę i tym razem ostrożniej lejąc, nappełnił ją do połowy. Następnie i pierwszą nappełnił w połowie, po czym odjechał bez płacenia. A przynajmniej tak mi się wydawało, bo później Kozi rozwił moje wątpliwości informując, że na Kubie najpierw się płaci, a dopiero potem operator odblokowuje dystrybutor. Dzięki czemu taka operacja nie jest możliwa.

Odjechaliśmy ze stacji i skierowaliśmy się do Santiago de Cuba. Zwrot „de Cuba” oznacza „z Kuby” lub „kubański”. Na drogowskazach kilkakrotnie widziałem krótszą wersję: „Sntg de Cuba”. Budownictwo na Kubie jest dosyć konsekwentne - domy wyglądają bardzo podobnie, występują w kilku powtarzających się schematach kolorów. Na Kubie jest jedna konstrukcja wieży ciśnień, którą widziałem dziesiątki razy. Różnica między kubańskimi miastami leży raczej w tym, jak bardzo budynki nadają się do remontu. Trinidad wyróżniał się sklepieniami domostw po-

krytymi dachówką, Hawana natomiast posiadała dachy z rozpadających się najwyższych kondygnacji.

Podczas trwającej około 5 godzin trasy, mijaliśmy Las Tunas. Śliczne miasteczko o niebywalej jak na Kubę cenie: zakazie używania klaksonu. Aż przykro mi było, że nie znajdowało się ono na naszym rozkładzie zwiedzania. Oczywiście mogliśmy zmodyfikować nasz plan, ale byłoby to nie rozsądne. Zależało nam na tym, aby dojechać do wschodniego wybrzeża, możliwie blisko przylądka. Jeśli chcielibyśmy zachować ten cel i jednocześnie zatrzymać się w Las Tunas, musielibyśmy wyciąć jeden z postojów w drodze powrotnej do Hawany, a to oznaczałoby powstanie ponad 10-cio godzinnej jazdy. A drogi na Kubie wymagają ciągłego skupienia, więc tak długa jazda była by zarówno męcząca, jak i niebezpieczna. W Santiago de Cuba upatrzyliśmy (na mapie offline) nocleg możliwie blisko wody. Zajechaliśmy na miejsce i odnaleźliśmy adres hostelu. Ganek domostwa okrążony był kratą i nigdzie w zasięgu rąk nie było dzwonka. To dosyć ciekawe - jak w takim razie turyści mają zapukać do drzwi, skoro nie da się ich dosięgnąć? Dokładniejsze oględziny krat wykazały, że furtka wprawdzie posiadała kłódkę, natomiast nie była zamknięta. Moglibyśmy ją zdjąć, a następnie wejść i zapukać. Wydawało nam się to już delikatnie podchodzące pod włamanie, więc zdecydowaliśmy sięciągnąć ręką przez kraty i zapukać w drewniane okno. Tak też zrobiłem i po dłuższej chwili drzwi otworzyły się i naszym oczom ukazała się właścicielka domu. Poprosiła nas, abyśmy chwile poczekali, a my wykorzysta-

jąc ten moment podjęliśmy decyzję, by nadać jej imię Helga de Santiago. Gdy wróciła, pokój był posprzątany i gotowy, aby nas przyjąć.

Zostawiliśmy bagaże i ruszyliśmy w miasto, w pierwszej kolejności oczywiście w kierunku zatoki o kaskadowej nazwie: Bahía de Santiago de Cuba. W Santiago de Cuba nie ma plaży, woda obija się jedynie o betonowe nadbrzeże. Nad nim z kolei leży przystań z na stałe zacumowanymi okrętami pełniącymi funkcje restauracji. Obok nich jest słynny trzymetrowy napis Cuba, z którym zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcia. Gdy próbowaliśmy się ustawić, zaczepił nas jakiś facet oferując nam usługi przewodnika. Odmówiliśmy, bo mieliśmy już przygotowany plan zwiedzania. Ruszyliśmy do centrum miasta w poszukiwaniu restauracji. Udało nam się znaleźć całkiem dobrze wyglądającą knajpkę, w której ja zamówiłem kurczaka w sosie barbecue, natomiast Kozi poprosił o kurczaka w czosnku. „Sos barbecue” okazał się być czerwonym słodkim sosem o aromacie Maggie. Do potrawy podana była fasolka szparagowa oraz łyżka żółtych ziemniaków. Bardzo chciałem spytać kelnera co to za gatunek ziemniaka, ale usilnie nas ignorował i w ten sposób nigdy się tego nie dowiedziałem. Po posiłku skierowaliśmy się do pierwszej lokalnej atrakcji, jaką był park Plaza de Marte, ozdobiony licznymi pomnikami. Ten największy, w centrum parku, był oczywiście pomnikiem José Martí, który jest najczęściej uwiecznianym na pomnikach Kubańczykiem. Drogi w Santiago do Cuba są dosyć strome. Jedna przecznica o długości 25 m potrafi wznosić się na 10

m wysokości. Maszerując ulicami miasta często przychodziło nam wspinać się pod górę, żeby za chwilę schodzić w dół. I zza horyzontu wylaniał się identyczny geometrycznie odcinek.

Drugi odwiedziny przez nas park - Parque Histórico Abel Santamaría - przywitał nas ogromną (wyłączoną) fontanną, na szczycie której znajdował się betonowy sześcián, na którego bocznych ścianach wyryte były wklęsłe twarze bohaterów Kuby. Nie zabrakło oczywiście José Martí, ale poza nim nie rozpoznałem żadnego. Usiedliśmy na ławce i odpoczęliśmy dobre kilkadziesiąt minut i gdy tylko odżyliśmy trochę sił, skierowaliśmy się do następnego punktu programu: na punkt widokowy. Dotarcie tam wymagało wejścia po wysokich betonowych schodach, w trakcie czego wesoło nuciliśmy sobie Eye of the Tiger. Na szczycie jednak okazało się, że widok na Santiago de Cuba nie był niestety powalający. Sam punkt widokowy był kawałkiem osiedla, które zawierało ichniejszy plac zabaw - dzieci kopały piłkę, gdzieś leciała muzyka. Odsapnęliśmy chwilę po wspinaczce, właściwie to dłuższą chwilę, bo upał utrudniał nam zebranie sił, po czym wstaliśmy i zaczęliśmy schodzić w dół - w kierunku centrum. Nasz nocleg znajdował się w pobliżu zatoki, a w niej stała wiecznie zakotwiczona barka, której bar obraliśmy sobie za następny przystanek. Santiago de Cuba jest drugim największym miastem na Kubie - zaraz po Hawanie. Odczuliśmy to w nogach - przemieszczanie się między jego atrakcjami w upalny dzień było wycieńczające, szczególnie pokonywanie stromych przecznic.

Kiedy już usiedliśmy przy stoliku na stalowej barce, zgodnie postanowiliśmy nie wyruszać już dziś poza okolice noclegu. Obok nas rozgościła się cała kubańska rodzina, która w dodatku przyniosła z domu swoje piwo w plastikowych butelkach. Wszędzie był straszny hałas, z głośników grała jakaś muzyka, której nawet nie słyszałem, bo z tej odległości basy przyćmiewały całą resztę spektrum. Nie wytrzymałszy w tych warunkach za długo i gdy tylko dopiliśmy piwo, zapłaciliśmy. Obsługa barki przetrzymała nas jeszcze 10 minut ociągając się z wydaniem reszty.

Wciąż odczuwając pragnienie ruszyliśmy szukać jakiegoś miejsca, w którym moglibyśmy zamówić drinka. Udało nam się znaleźć dosyć elegancką restaurację, w której usiedliśmy pod gołym niebem. Obsługa wspomniała nam, że do północy odbywać się tu będą tańce, ale poza nami nikogo w niej nie było, więc wydaje mi się, że obawa ta była trochę na wyrost. Zamówiliśmy pinacoladę i mojito, ale po chwili kelner przyniósł nam dwie pinacolady. Co ciekawe - jak wchodziliśmy, to właśnie takie dwa drinki stały już na barze. Jestem niemalże pewien, że po prostu opchnęli je nam, licząc chyba, że nie będziemy protestować i Kozi zrezygnuje ze swojego mojito. I faktycznie odpowiedziałem, że to nie problem. W końcu i tak będę chciał zamówić drugą, za to Kozi poprosił o podanie faktycznie zamówionego drinka. Oboje byliśmy już zmęczeni tym miejscem. Poczawszy od lokalnego przewodnika przy napisie „Cuba”, poprzez nieustająco klejących się do nas żebraków, grupkę dzieci która lazła za nami od punktu widokowego aż po barkę, taksów-

karzy którzy oferowali nam podwózkę, a po odmowie oferowali sprzedaż biletu autobusowego, a po kolejnej odmowie kartę dostępu do Internetu, po ciągle gwizdy i pytania z tłumu „hello, where are you from”. Całkowicie rozumiem, że Ci ludzie żyją w biedzie i dla nich każdy 1 na 100 turystów, który zatrzymuje się podzielić swoim portfelem jest na wagę złota. Ale na dłuższą metę zaczęło nam to działać na nerwy. Wisienką na torcie były te właśnie zamówione przez nas drinki. Najpierw wciśnięto nam dwie pinacolady, gotowe jeszcze zanim przeszliśmy przez próg, a potem gdy Kozi poprosił o drugie mojito, zamiast drinka otrzymał swoją poprzednią szklankę z miętą uzupełnioną do pełna wodą gazowaną. To była już kpina.

„Najwyższy czas wyjechać z tego miasta”

- powiedział Kozi.

Zapłaciliśmy nie zostawiając krztyny napiwku i zrezygnowani wróciliśmy do pokoju. Gdy już położyliśmy się do łóżek okazało się, że nasz świetny pomysł z noclegiem przy wodzie zaowocował nam nocną imprezą pod samymi oknami aż do 3-ciej nad ranem.

Najwyższy czas wyjechać z tego miasta

Dzień 8 - Bunkrów nie ma, ale też jest zajebicie!

Obudziliśmy się ledwie przytomni. Spaliśmy może po 4 godziny. Już nie śpiąc, leżałem zniesmaczony tym, jak wyglądała noc prawie do samego śniadania. Ostatnie 10 minut przed umówioną godziną posiłku wstałem, umyłem twarz mydłem i razem z Kozim wyszliśmy z pokoju na piętro niżej, gdzie czekał już zastawiony stół. Chciałem powstrzymać negatywne nastawienie, ale przygotowane nam śniadanie dotrzymało kroku całemu Santiago do Cuba i było najgorsze jak do tej pory. Omlet pływał w tłuszczu, kawałki melona smakowały jak wyciągnięte z puszki, a jedyną formą mięsa były pieczone kawałki schabu, niestety również strasznie tłuste, chyba smażone razem z jajkami. Podziękowaliśmy i odjechaliliśmy. Ostatnim punktem do odhaczenia było napełnienie baku do pełna. Odwiedziliśmy dwie stacje benzynowe, ale żadna nie oferowała benzyny 94-ro oktanowej. Opuściliśmy więc miasto i udaliśmy się w trasę, nawigację ustawiając na kolejne stacje przy drodze. Poczuliśmy się trochę zagrożeni, gdy poziom paliwa z każ-

dym kilometrem malał, a stacja w Alto Songo również nie pozwoliła nam napełnić baku. Na całe szczęście kawałek dalej, w Le Maya w końcu nam się udało i pewni siebie skierowaliśmy nawigację na Baracoa. Im dalej na wschód, tym klimat robił się coraz bardziej suchy. Gleby traciły swój pomarańczowy kolor, a stawały się bardziej piaskowe. W pewnym momencie po obu stronach jezdni połowę roślinności stanowiły kaktusy! To niesamowite jak kilkaset kilometrów może odmienić krajobraz. Ostatni raz widziałem coś takiego w Disneylandzie.

W trakcie jazdy do Baracoa trafiła nam się pierwsza prawdziwa kontrola policyjna. Kontrole drogówki na Kubie najczęściej występują w specjalnie wyznaczonych miejscach: „Punto de Control” - ale bywają i wyjątki. Funkcjonariusze poprosili o nasze dokumenty, ale gdy zobaczyli tylko, że wyciągamy z torby paszporty, powiedzieli, że możemy jechać dalej. Zacząłem się zastanawiać, czy te kontrole dotyczą losowo zatrzymywane samochody, czy może też punkt kontrolny w tej okolicy po prostu nie zanotował żadnego kierowcy od paru godzin i sprawdził nas z nudów.

Po przejechaniu paru kilometrów droga zbliżyła się do krawędzi lądu i tym samym sunęliśmy przy Morzu Karaibskim. Ucieszeni jak dzieci postanowiliśmy zatrzymać się tu i popływać. Wysiedliśmy z samochodu i rozprostowaliśmy nogi. Poczułem się jak filmowy Laska z Polski.

Bunkrów nie ma, ale też jest zajebiście!

Tafla morza była intensywnie niebieska. Zostawiliśmy większość rzeczy w samochodzie i zeszliśmy w dół kamiennej plaży. Mimo tego, że najpierw była moja kolej na pilnowanie, czas mijał bardzo przyjemnie. Rozkoszny widok Morza Karaibskiego rozciągającego się u moich stóp był jednym z tych miłych akcentów, których brakło w Santiago de Cuba. Kamienie na plaży były ciekawie podziurawione. Niektóre miały łagodną powierzchnię, ale były też takie o rozmaitych... żyłach? Ale i dziurkach, wzory były różniste. Gdy Kozi wrócił na brzeg, podekscytowany zdjąłem buty i powolutku wszedłem do wody po kamiennym dnie. Woda była idealnie przejrzysta, dzięki czemu bez problemu stawiałem kolejne kroki. Nawet będąc już daleko po pas w wodzie, nadal dokładnie widziałem dno, było jedynie rozmazane przez fale większe od tych przy samym brzegu. Pływając z wynurzoną głową kilkukrotnie rozbijane o mnie fale chlapnęły mi na usta i nie zdziwię chyba tym nikogo, że woda była słona. Po pewnym czasie wyszedłem na brzeg i oboje odczekaliśmy trochę czasu, aby wyschnąć. Następnie przebraliśmy się, zapakowaliśmy w auto i ruszyliśmy w dalszą trasę. Kawalek dalej znowu zostaliśmy zatrzymani przez policję. Tym razem nie zdążyliśmy nawet wyciągnąć paszportów - gdy policja usłyszała, że mówimy jedynie po angielsku puściła nas dalej. Może ktoś z podobnym do naszego autem jest tu poszukiwany? Kto wie, mam nadzieję, że nie przysporzy nam to problemów.

Droga do Baracoa odbiła na północ i wkroczyła pomiędzy góry. Zakręty zaczęły się robić coraz ciaśniejsze i bar-

dziej kręte. Nawierzchnia jezdni była w dobrym stanie, ale studzienki ściekowe wydrążone tuż przy drodze były spore i bardzo głębokie, jednocześnie mało która z nich była czymkolwiek przykryta. Zresztą podejrzewam, że najechanie na tę zakrytą kratami niczym się nie różni od najechania na całkiem gołą - koło po prostu całkowicie wpadnie w dół popychając przed sobą kratę lub nie. Trasa taka towarzyszyła nam praktycznie do samego Baracoa. Jutro będziemy tędy wracać, bo jest to jedyna cywilizowana droga prowadząca w te rejony. Moglibyśmy odbić z Baracoa bezpośrednio na zachód, ale mapy ostrzegają nas, że niejednokrotnie zabraknie nam wtedy asfaltu.

Miasto okazało się całkiem przytulne, a przede wszystkim spokojne. Udało nam się nawet znaleźć nocleg w całkiem ładnym pokoju za pierwszym podejściem. Właścicielkę pokoju nazwaliśmy Mariją. Pokój znajdował się na piętrze i na dwóch z jego ścian była kaskada małych okienek. Każdy z nich miało jedne drewniane drzwiczki, które otwierane były w sposób podobny do zaworów wodnych. Obracały się względem osi przechodzącej przez środek drzwiczek tak, że ich pozycja zamknięta zamykała okno, a otwarta skierowana była równolegle do przepływu światła i powietrza. To rozwiązanie jest bardzo proste - dzięki czemu takie okna są tanie i można ich zamontować więcej na ścianie - jak i dosyć wydajne, bo w ten sposób więcej okien oznacza większy przepływ powietrza - stąd znajdowały się one aż na dwóch ścianach pokoju. Jest tylko jeden mankament - okna takie nie są właściwie wcale dźwiękoszczelne.

Wyruszyliśmy na obiad w kierunku pizzerii, zgodnie z moim życzeniem. Jedliśmy na Kubie różne rzeczy, ale pizzy jeszcze nie. Ciekawe jak smakuje kubańska adaptacja włoskiego jedzenia! I jak się niestety okazało, nie przyszło nam jej spróbować, bo w miejscu, gdzie na mapie widniała pizzeria, w Baracoa znajdował się zamknięty zewsząd zwykły dom. Zaproponowałem poszukać kolejnej, ale Kozi wypatrzył już wysoko ocenioną restaurację na mapie, więc udaliśmy się właśnie tam - do El Buen Sabor. W restauracji przywitał nas zaskakująco dobrze mówiący po angielsku mężczyzna. Na wstępie poinformował nas, że dania w karcie zawierają także przystawki, których pełną listę wymienił. Ja zamówiłem kurczaka w sosie kokosowym, Kozi za to postanowił po raz kolejny zmierzyć się ze stekiem wieprzowym. Najpierw podano nam pyszne chipsy bananowe, następnie coś nazwanego przez kelnera rybimi krokietami. Były to kulki z ciasta o smaku ryby, smażone na głębokim oleju. Do dania głównego dostaliśmy dużą miskę brązowego ryżu smażonego z fasolą. Mój kurczak był świetny! Stek Koziego również, ale w pojedynku sam na sam nie miał szans z kurczakiem. Po posiłku kelner spytał czy wszystko było w porządku, a następnie ile dni będziemy w Baracoa. Gdy usłyszał, że pozostajemy tu tylko na jeden dzień i rano planujemy wyjechać, uprzedził nas, że w Baracoa jest wiele do zobaczenia i żeby wystarczyło czasu na wszystko musielibyśmy zostać tu około trzech dni. Dodał też, że jest też lokalnym przewodnikiem i pokazał nam na mapie gdzie jest plantacja kakao oraz gdzie będziemy mogli wypoży-

czyć łódkę i płynąć podziwiać dziką naturę. Coś czuję, że liczył, że wynajmiemy go na przewodnika, ale mieliśmy wtedy przed oczami perspektywę zobaczenia wielu rzeczy i niewiele czasu na ich oglądanie, więc nie chcieliśmy spowalniać wycieczki - a tak by właśnie było z przewodnikiem. Podziękowaliśmy i zapłaciliśmy, po czym szybko wsiedliśmy w samochód i pojechaliśmy na wskazaną plantację kakao. Mieliśmy tam szukać kobiety o imieniu Stokrotka (nie po polsku oczywiście), która będzie mogła przedstawić nam proces powstawania wytworów czekoladowych.

Stokrotka okazała się być kobietą w podeszłym wieku, która niezbyt dobrze mówiła po angielsku. Za to proponowała nam, że o ile - jak sama powiedziała - to ona jest królową kakao, tak nas może oprowadzić jej córka - księżniczka kakao. Zostaliśmy poprowadzeni na pola kakaowe. Był to moment, w którym jedna z zagadek Kuby, która trapiła mnie od dawna została rozwiązana. Na polach znajdowały się trzy rodzaje roślin: kawowiec, którego mieliśmy okazję widzieć już wcześniej, kakaowiec - podobne do niego drzewko, może trochę większe, z mnóstwem pachnących kwiatów lub całymi już owocami kakaowca, oraz trzeci rodzaj: średniej wielkości palma z ogromnymi rozłożystymi liśćmi. Był to bananowiec! Możliwe, że plantacja bananowca którą wcześniej widziałem przy drodze była już po zbiorach lub zwyczajnie jadąc dosyć szybko samochodem nie zauważyłem zielonych jeszcze kiści bananów ukrytych pod tymi ogromnymi liśćmi. Bananowce sadi się na plantacjach kakao, aby chronić drzewa kakaowe przed

słońcem. Każde drzewo kakaowca daje w ciągu roku między 100 a 150 owocami. Owoce zbiera się, gdy robią się brązowe lub purpurowe, wtedy po odcięciu kawałka skóry widać, że w środku jest żółty - gotowy do zbioru. Farma wysyła większość owoców do fabryki, ale pewną część zostawia i produkuje wyroby kakaowe lokalnie. W lokalnej produkcji owoce rozcina się i wyciąga ze środka nasiona razem z białą kleistą otoczką o smaku podobnym do liczi - subtelnie kwaśnym i słodkim jednocześnie. Gromadzi się je w koszykach i pod przykryciem z liści bananowca zostawia do sfermentowania. Gdy są już gotowe, odsącza się je z powstałego płynu - likieru kakaowego i suszy, a następnie mieli w młynkach ręcznych. Powstaje w ten sposób ciapka, która podgotowana rozpada się na masło kakaowe i pozostałości. Samo masło jest składnikiem produkcji czekolady, ale funkcjonuje też jako kosmetyk nawilżający skórę. Lokalna produkcja wyrobów czekoladowych wyrabia też i samo masło, ale większość powstałej po zmieleniu ciapki w całości formowana jest w kulki o promieniu około 7 cm i suszona, następnie kulki takie tarte są na proszek na ręcznych tarkach. Z proszku powstaje tu gorzka czekolada lub jedna z dwóch mieszanek czekolad słodkich: z proszkiem bananowym i cynamonem, oraz proszkiem bananowym i miodem. Fabryki czekolady produkują z owoców półprodukty: znane nam kakao naturalne i masło kakaowe. Lokalna produkcja do wyrobów czekolady korzystała ze składników bez wydzielonego masła, fabryka zaś wysyła je dalej, gdzie ponownie są łączone w odpowiednich proporcjach i powstaje

produkt bardziej jakościowy. Natomiast moim zdaniem - czekoladkom z farmy niczego nie brakowało!

Po wycieczce pojechaliśmy do Yumuri, wioski nieopodal Baracoa. Przejechaliśmy przez most, u stóp którego leżała przystań, wróciliśmy się więc zaparkować i poszukać wypożyczalni łódek. Zanim dojechaliśmy do końca mostu na drogę wybiegł nam jakiś mężczyzna i usilnie pukał w szybę, aż opuściliśmy ją na dół. Powiedział nam, że jest tu przewodnikiem i może zaoferować nam wycieczkę wodną. Oczywiście gdy tylko dojechaliśmy do wskazanego przez niego parkingu okazał się on płatny. Wydaje mi się jednak, że jest tak samo płatny jak niektóre darmowe parkingi w samym centrum Katowic. Jeśli zapłacisz menelowi za postój, to nie porysuje Ci auta. Ruszyliśmy pieszo za naszym przewodnikiem, poczekaliśmy na molo i po chwili przyплыnęła łódź wraz z wioślarzem. Wsiedliśmy i popłynęliśmy wzdłuż rzeki, która płynęła przez swojego rodzaju kanion, a przynajmniej z obu stron otoczona była stromymi górami. Spodziewałem się, że popłyniemy dalej, ale wioślarz skierował łódź do pobliskiego brzegu i wraz z przewodnikiem wysiedliśmy na ląd. Rozpoczęło to naszą pieszą wycieczkę. Przewodnik wskazał nam szalwię rosnącą wzdłuż rzeki i dodał, że znajduje się tu jej plantacja. Wydaje mi się, że rośnie ona tylko dziko przy rzece, ale może faktycznie gdzieś w pobliżu jest jakaś. Chyba nigdy się tego nie dowiem. Wskazał nam też krzew mango, kilka innych roślin. Na kamienistej plaży znajdowała się dobrze zachowana skorupa kraba - widocznie niedawno zrzucana. Czułem się tro-

chę jak ofiary przewodników po Taj Mahal w Slumdogu. Po chwili przewodnik dodał, że dalsza część wycieczki jest dodatkowo płatna i zawiera zwiedzanie plantacji kakao i wioski indiańskiej. Jako że już to widzieliśmy, a wspomniana przez niego wioska indiańska zapewne byłaby jednym namiotem, odmówiliśmy. Wystarczało nam już wyzysku jak do tej pory. Słyszając naszą rezygnację przewodnik zaproponował zmniejszyć cenę z 25 do 20 dolarów na osobę, co i tak było ogromnym wydatkiem. No i nie chodziło tu o cenę. Zaczęliśmy się zatem wracać, a przewodnik opowiadał nam, że jego dom został zniszczony przez huragan 5 lat temu i razem z żoną i dwójką dzieci żyją w nędzy. Zrobiło mi się przykro i był to ten gorzki rodzaj przykrości, pomieszany z tym, że wymuszono na nas płatny parking i że całe to udawane zwiedzanie i tak kosztuje 10 dolarów. Z czego jak się dowiedzieliśmy 2 trafia do niego, a 8 do jego szefa.

Wróciliśmy łódką do przystani, a następnie pieszo do samochodu. Otworzyliśmy mapę i zaczęliśmy szukać najdalej wysuniętego na wschód punktu, jaki jesteśmy w stanie osiągnąć samochodem. Byliśmy w końcu blisko wschodniego przylądka Kuby! I jak się okazało, moglibyśmy dojechać na sam geograficzny przylądek, ale zajęłoby to 3 godziny (w jedną stronę), bo trzeba by tam jechać całkowicie dookoła, z powrotem przez góry. Pojechaliliśmy zatem kawałek dalej, gdzie znajdował się punkt widokowy. Był to szczyt klifu z pięknym widokiem na Ocean Atlantycki. Znajdowała się tam też budka z napisem „bar”, więc uradowani poszliśmy poszukując czegoś na schłodzenie. Niestety

Bunkrów nie ma, ale też jest zajebiście!

napis był bardzo mylący, bowiem w środku nawet stała jakaś lodówka, a nad nią butelki z rumem, ale kupić tam można było jedynie cygara i papierosy. Wyszliśmy z niej i zrobiliśmy ostatnią rzecz, jaka nam tam pozostała - rozkoszowaliśmy się widokiem rozciągającej się u stóp klifu wody. Gdy już nacieszyliśmy oczy, wróciliśmy do Baracoa. Tam zaparkowaliśmy pod naszym noclegiem i ruszyliśmy pieszo do El Buen Sabor, aby oglądając zachód słońca napić się drinka.

Dzień 9 - Brakuje tylko autostopowiczów z bananami

Wieczorem, gdy już spałem, lokalny bar obudził mnie muzyką. Udało mi się przespać parę godzin, ale później nastąpiła senna bessa. Wspomniane przeze mnie wcześniej okna nic a nic nie chroniły nas przed dźwiękiem, przez co rano wstałem niezbyt wyspany. Miałem tylko nadzieję, że Kozi spał lepiej, bo czekała nas ośmiogodzinna jazda, a to on jest kierowcą. Oczywiście wynajmując auto zdecydowaliśmy się na dopłatę, abym i ja mógł je prowadzić, za to póki co nie skorzystaliśmy z tej możliwości. Koziemu dobrze wychodziły nagle hamowania przed dziurami, a zwycięskiego składu się nie zmienia.

Śniadanie u Mariji nie było specjalnie bogate, za to całkiem smakowite. Każdy z nas dostał po kruchym ciastku, które miało przyjemny smak pochodzący z brązowego cukru. Na talerzu owoców natomiast znajdowały się plasterki w kształcie gwiazdek. Spytałem się Mariji jak nazywa się ten owoc i jego hiszpańska nazwa to alberoa. Jeśli dobrze pamiętam, po angielsku nazywa się starfruit, za to po pol-

sku jeszcze inaczej: karambola. Sam owoc ma bardzo subtelny smak albo po prostu nam trafił się taki mało intensywny egzemplarz.

Przez większość nocy padał intensywny deszcz. Rano już się rozpogodziło, ale pierwszy odcinek dzisiejszej długiej trasy wiedzie przez góry i szczerze mówiąc bałem się, że może się na nas osunąć jakaś - mniejsza lub nie - lawina. Poruszyłem ten temat z Kozim i wspólnie doszliśmy do wniosku, że istnieje takie ryzyko, ale do osunięć doszło już raczej w nocy, za to jadąc drugą trasą: bezpośrednio na zachód, narażamy się na utonięcie w błocie, co mogłoby poważnie zagrozić naszej podróży. Zapłaciliśmy i pożegnaliśmy się. Wsiedliśmy w samochód i pojechaliśmy w kierunku stacji benzynowej, gdzie z powodzeniem napełniliśmy bak. Odcinek górski faktycznie był w gorszym stanie niż dzień wcześniej. Kilkukrotnie napotkaliśmy zablokowany jeden z pasów, ale udało nam się pokonać go całego. W trakcie jazdy mijaliśmy przydrożnych handlarzy wymachujących do nas np. kiścią bananów. Widok ten towarzyszył nam przez całą Kubę, ale tym razem przeszło mi przez głowę pytanie: A co jeśli oni nie chcą nam tego sprzedać, tylko oferują nam to jako opłatę za podwózkę? Byłem w stanie zrozumieć próbę handlu w wielu miejscach, ale tutaj w górach ciężko mi uwierzyć, że ktoś zatrzymałby się je kupić. Nie dlatego że sam taki zakup jest dziwny i właściwie niebezpieczny, ale dlatego że ani razu nie widziałem, żeby ktoś się zatrzymał dokonać wymiany, więc statystycznie rzecz ujmując rzadko jeżdżące

tą trasą samochody zatrzymują się w przybliżeniu... nigdy. Przeszło mi też przez myśl zatrzymać się i zapytać, ale nie chciałbym zrobić takiemu człowiekowi nadziei na jazdę klimatyzowanym pojazdem z nami, a potem potraktować go jak eksponat z zoo i poprosić tylko o wytłumaczenie swojego celu. Krótko po pokonaniu odcinka górskiego przyszło nam po raz pierwszy na Kubie zatrzymać się przed przejazdem kolejowym. Nie był on oczywiście zamknięty szlabanami, za to pociąg już z daleka nieustannie trąbił, więc nie sposób było go nie zauważyć. Pociąg realizował transport różnych towarów, większość wagonów była drewnianą skrzynią z zaokrąglonym dachem, więc ciężko mi zgadywać co mogło być w środku. Były też dwa wagony cysterny, kilka pustych, jeden z żywcem (zwierzętami hodowlanymi, nie piwem). Kuba była jednym z pierwszych krajów obu Ameryk, gdzie uruchomiona została sieć kolejowa. Na całej Kubie znajdują się pomniki przedstawiające zabytkowe lokomotywy, które jako pierwsze przemierzały szyny tego kraju. Ciekawe, kiedy znów będziemy widzieli jakiś pociąg jadący przez Kubę. W związku z tym, że dzisiejsza trasa była zdecydowanie dłuższa niż poprzednie, zdecydowaliśmy się zaburzyć rytm dnia i obiad zjeść na postoju. W przeciwnym wypadku udałoby się nam to dopiero w okolicy 18-stej - po dotarciu na sam koniec trasy. Zatrzymaliśmy się na samym początku obwodnicy Las Tunas, w knajpie o nazwie El Ranchon. Była to dosyć spora buda ze słomianym dachem wznoszącym się na drewnianych palach ponacinanych jak kielbaski z grilla (co jak miemam było

elementem ozdobnym). Menu wywieszone było na słupie i zawierało dwa dania i trzy przystawki (w tej kolejności, od góry do dołu). Wszystkie pozycje były wypisane jedynie po hiszpańsku, więc wyciągnąłem słownik i podjąłem się tłumaczenia dań. Pierwsze okazało się potrawką z krewelek. Drugie natomiast czymś ze świni, więc bez wahania wybrałem drugą pozycję. Kozi natomiast poprosił o danie spod lady: stek wołowy. Dla pewności przetłumaczyłem też resztę nazwy mojej potrawy i jak się okazało była to... świńska noga. Z jednej strony mogło się to okazać czymś w rodzaju naszej polskiej świńskiej nogi w kapuście, tylko pewnie bez kapusty. Z drugiej strony niezbadane są ścieżki kubańskich wymysłów kulinarnych, więc właściwie mogło to być cokolwiek. Nie wiem która z tych opcji przerażała mnie bardziej. Na szczęście okazało się, że moje danie było zwykłymi plastrami schabu w cebuli, podanymi z fasolką, awokado, chipsami bananowymi i brązowym ryżem. Posiłek był pyszny! W trakcie jedzenia borykaliśmy się z niezwykle silnym wiatrem, który z każdego stolika targał ze sobą serwetki, puste puszki i butelki. Silny wiatr i głośnie muzyka właściwie wykluczyła jakąkolwiek rozmowę, więc mogliśmy odezwać się do siebie dopiero po skończonym posiłku. Gdy to nastąpiło, zapłaciliśmy i zebraliśmy się do auta.

Ruszyliśmy w dalszą trasę, kierując się na obwodnicę Las Tunas. Ku naszemu zdziwieniu już kawałek dalej zabrakło asfaltu. Przez najbliższe 5 km przyszło nam jechać po żwirze. Droga chyba była po prostu w remoncie, co nie było zaznaczone na naszych mapach. Wcześniej jadąc przez

Las Tunas przypadło nam przemierzyć je przez samo centrum, które wyglądało ślicznie i szczerze mówiąc tym razem byłem trochę rozczarowany tym, jak poprowadziła nas nawigacja. Na szczęście zaraz za miastem asfalt powrócił i mogliśmy normalnie (jak na warunku Kubańskie, czyli omijając wszędobylskie dziury drogowe) jechać. Celem naszej podróży było La Boca, mała miejscowość wybrana trochę przez położenie palca na mapie - potrzebowaliśmy umieścić w okolicy tego miejsca nocleg, aby dziennie pokonywana trasa nie była zbyt długa. La Boca wygrało w plebiscycie na najlepszą lokalizację zarówno pod kątem odległości do poprzedniego i następnego przystanku, jak i bliskości do Oceanu Atlantyckiego.

Z każdym pokonanym przez nas kilometrem jakość dróg się pogarszała. Apogeum nastąpiło, gdy z trasy na Hawanę odbiliśmy na północ. Po oznaczeniach na mapie podejrzewam, że drogi na Kubie można podzielić na 5 klas. Klasa drogi jest mniej więcej powiązana ze stanem jej nawierzchni, ale zdarzają się brutalne wyjątki. Najlepsze jakościowo są autostrady, następnie drogi oznaczone jako CC, kolejno trzecia klasa CN, czwarta: drogi regionalne i piąta - drogi lokalne. Pierwsze trzy kategorie oznaczone były na naszej mapie kolorem pomarańczowym, kategoria czwarta białym, piąta szarym. Odcinek, którym przyszło nam tu jechać był drogą czwartej kategorii. O ile na początku był jeszcze asfalt z dziurami tak głębokimi, że jeden nieostrożny ruch mógłby uszkodzić nam zawieszenie, tak po chwili jechaliśmy już po czymś, co chyba kiedyś było asfaltem, a

dziś było pozostałością po jego sfrezowaniu. Liczba dziur się spotęgowała. Cały ten teren przypominał poligon doświadczalny na którym testowane były manewry bombardowania. Dziury o średnicach z zakresu 0,5 m do 2 m, głębokie na 15-30 cm. Niemalże jedna przy drugiej. Czasami obok tej „drogi” pojawiał się dodatkowy pas ziemi, którym mogliśmy przejechać około 50 m bez obawy o utratę koła. Blisko 20 km pokonaliśmy iście żółwim tempem, nieustannie snując żarty o Kubańskich drogach.

Brakuje tylko autostopowiczów z bananami.

Na szczęście, gdy tylko dojechaliśmy do północnej nitki komunikacyjnej, wjechaliśmy na jednolity asfalt. Jednolity - bo dziury w nim załatane były asfaltem i taka droga towarzyszyła nam już do samego La Boca. Na miejsce dotarliśmy w okolicy godziny 19-stej.

Gdy wysiedliśmy odniosłem przez chwilę wrażenie, że zrobiło się jakoś zimno, ale po chwili dotarło do mnie, że chyba po prostu ochłodziło się do 25 stopni. Ruszyliśmy pieszo w poszukiwaniu noclegu, początkowo bez żadnych sukcesów. Pierwsze dwa znalezione przez nas hostele okazały się ślicznymi domkami, niestety opustoszałymi. Idąc dalej nasz wzrok przykuło ogrodzenie ze stali nierdzewnej, a gdy podeszliśmy okazało się, że przy furtce jest nawet działający dzwonek do drzwi. Zadzwoniliśmy i po chwili wyszedł nas przywitać mężczyzna, który zaoferował nam

jeden z dwóch pokoi na piętrze. Pokój nie był jakoś specjalnie przytulny czy ładnie ozdobiony, za to bardzo praktyczny. W każdym z nich okna okryte były moskitierami, a my mogliśmy nawet zaparkować samochód na zamkniętym podwórzu, co było niespotykanym dotąd na Kubie komfortem. W związku z tym, że mężczyzna był łysy, postanowiliśmy nadać mu imię Johnny, na cześć pewnej gwiazdy filmowej.

Rozpakowaliśmy się i póki jeszcze było ciepło ruszyliśmy nad ocean. Plaża okazała się w dużej mierze pokryta zbrązowiałymi liśćmi, więc przespacerowaliśmy cierpliwie całkiem spory jej kawałek, aby znaleźć fragment z możliwie małym nagromadzeniem tych paprochów, bo ich ilość na brzegu była blisko związana z ilością poruszającą się w wodzie z każdą falą. Nigdzie nie było idealnie, ale udało nam się znaleźć możliwie czysty odcinek. Właśnie tam rozkoszowaliśmy się widokiem zachodzącego słońca. Woda była cieplejsza niż w Morzu Karaibskim, ale też nie taka czysta (i nie chodzi tu o liście, a o piasek i muł unoszący się z każdym pływem). Możliwe, że była to kwestia piaszczystej plaży zamiast kamienistego brzegu. Pływaliśmy w Oceanie Atlantyckim tak długo, jak tylko było to możliwe, aż zrobiło się całkiem ciemno. Za to, gdy wracaliśmy, uczepliły się nas komary - całą chmarą, która podążała za nami aż do pokoju. O dziwo tym razem dotkliwie pogryzły Koziego, za to mnie zostawiły w spokoju. Dowiedziałem się także, że komary z Cienfuegos pogryzły wtedy tylko mnie, za to Kozi nie miał ani ugryzienia. Widocznie bardzo ostrożnie i

Brakuje tylko autostopowiczów z bananami

zależnie od regionu dobierają sobie swoje ofiary.

Dzień 10 - Czasem łatwiej jest dorobić drogę obok, niż załatać dziurę w moście

Moskitiera w oknach okazuje się zupełnie nieskuteczna, jeśli wcześniej wpuści się komary przez drzwi. Na całe szczęście dla mnie nasz pokój posiadał dużo lepsze zabezpieczenie: Koziego. Komary przez noc doszczętnie go pogryzły, mnie zostawiając w spokoju. Gdy wychodziliśmy na śniadanie policzyłem 9 bąbli na jednej jego ręce. Śniadanie u Johnnego było pierwszym od dawna, gdzie do stolika podano nam mleko. Ucieszeni rzuciliśmy się na nie. Ja zrobiłem sobie kawę z mlekiem, Kozi z kolei upagnione kakao. Na stole brakowało jakiegokolwiek formy szynki, a do picia podany nam był sok z ananasa. Poza tym właściwie nie różniło się od pozostałych śniadań na Kubie. Zapłaciliśmy za nocleg i pożegnaliśmy się z Johnnym, po czym odjechaliliśmy na zachód. Kolejny nocleg nie był zaplanowany w prywatnie wynajętym pokoju, a w hotelu. Jesteśmy w końcu na wakacjach.

Wyjeżdżając z La Boca, udało nam się zatankować na pierwszej napotkanej stacji benzynowej. Zarówno my, jak i

Kubańczycy jeżdżymy bez włączonych świateł. W dzień nie są tu wymagane, za to w nocy są niezbędne, aby omijać dziury w drodze - co nas nie dotyczy, ponieważ w nocy nie jeżdżymy. Nie jestem pewien czy na Kubie wymagane jest posiadanie czerwonych świateł stopu z tyłu pojazdu. Oczywiście każdy samochód posiada tu takie światła, ale niejednokrotnie nadzialiśmy się na to, że nie świeciły. Wydarzyło się to między innymi w Chambas, gdzie ledwo wyhamowaliśmy przed cysterną, która nagle zatrzymała się zarówno bez kierunkowskazu, jak i świateł stopu. Ruch drogowy nie jest tu duży, ale Kubańczycy ponownie stają na wysokości zadania i też mają swoje zagrożenia na drodze. W Yaguajay zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, aby uzupełnić paliwo. Podczas gdy Kozi tankował, ja miałem okazję podziwiać zmagania kierowcy najprawdopodobniej 70-cio letniego niebieskiego Pontiac. Podjechał on pod dystrybutor z dieslem, opuścił szybę, a następnie sięgnął na zewnątrz ręką, aby otworzyć sobie drzwi kierowcy. Następnie wysiadł, a puszczone drzwi bezwładnie oparły się o nadwozie samochodu, wisząc tak krzywo, że ciężko było mi uwierzyć, że przed chwila zamykały konstrukcję. Kierowca wrócił i otworzył bagażnik. Jak się okazało, pomimo widocznego wlewu paliwa z boku samochodu, wlewa się je do bagażnika. Następnie wrócił do okienka zapłacić, po czym wsiadł do auta, magicznie zamknął niedopasowane drzwi odpowiednim trzaśnięciem i przystąpił do uruchamiania silnika. Proces ten polegał na ciągłym powtarzaniu cyklu: zapłon, około sekunda pracy, zgaśnięcie. Po prze-

pracowaniu 12 cykli silnik uruchamiał się na stałe i maszyna pozwoliła odjechać ze stacji. Szczerze mówiąc i tak jestem pod wrażeniem, że pojazd nadal jeździ. Co więcej: taksówki w Hawanie dają radę bez tych wszystkich cyrków, a też mają jakieś 70 lat. Po paru godzinach dojechaliśmy w okolice Caibarién, skąd odbiliśmy na północ, na wyspę Cayo Santa Maria. Wyspa ta połączona jest drogą położoną na usypanym pasie lądu. Trasa ta mierzy blisko 50 km. Wjeżdżając na nią przeszliśmy kontrolę paszportów i musieliśmy uiścić opłatę w wysokości 2 dolarów. Cena ta wydaje się śmiesznie mała w porównaniu z naszą polską autostradą na linii Katowice-Kraków.

W sierpniu 2017 roku w Kubę uderzył huragan Irma, który punktowo zniszczył tę trasę. Została ona w zdecydowanej większości naprawiona, ale niektóre jej fragmenty są wykluczone z użycia do dzisiaj. Między innymi jeden z mostów, na którego środku była spora dziura. Pewnie moglibyśmy ją ominąć, ale raczej nie byłoby to zbyt bezpieczne, bo taki wyłom najprawdopodobniej nadwyrężył strukturę konstrukcji. Kubańscy rozwiązali ten problem dookoła - dosłownie. Obok mostu usypany był łuk, na którym zbudowano drogę.

Czasem łatwiej jest dorobić drogę obok, niż załatać dziurę w moście.

Naszym hotelem okazał się być 5-cio gwiazdkowy Playa Cayo Santa Marta. Zajechaliśmy na miejsce i wysiedliśmy

z samochodu. Już po chwili podbiegł do nas stróż parkingu z daleka gwizdząc na nas, abyśmy zwrócili na niego uwagę. Kubańczycy mają paskudny zwyczaj gwizdać na ludzi, od których czegoś chcą. My musieliśmy przeparkować, oczywiście na parking dla gości znajdujący się około 150 metrów dalej. Gdy już się z tym uporaliśmy, stawiliśmy się na recepcji, gdzie opłaciliśmy pobyt. W cenie jednego noclegu wliczony był obiad, kolacja, jutrzejsze śniadanie i kolejny obiad - godzinę po wymeldowaniu. Hotel składał się z kompleksu trzypiętrowych bloków mieszkalnych, basenów, barów, punktów usług. Nie chcę rozpisywać się o tym jak spędziliśmy czas w hotelu, bo nie wzbogaci to kulturowo czy merytorycznie tego dziennika. Wspomnę tylko, że korzystaliśmy z usług spa, barów i restauracji, a mi przyszło w końcu zjeść na Kubie pizzę.

Wieczorem, gdy siedzieliśmy w barze cygarowym, przysiadł się do nas mężczyzna szukający pogawędki. Przedstawił się imieniem Francis i dodał, że mieszka w Kanadzie, w Quebec. Po chwili dołączył do nas jego kolega, z którym we dwóch tu przylecieli: Fred. Niezwykle przyjemnie rozmawiało nam się z nimi na tematy tak ogólne jak życie, jego filozofia, czas wolny i poczucie młodości. Oboje byli w hotelu na wakacjach ze swoimi żonami, więc niedługo musieli zbierać się do pokoi. Francis podarował mi na pożegnanie otwieracz do butelek ze swoim imieniem - dziękuję! Zgodnie z tym jaki stereotyp krąży po Internecie, Kanadyjczycy to naprawdę mili i uprzejmi ludzie. A przynajmniej ta dwójka całkowicie pasuje do tego opisu.

Dopaliliśmy swoje cygara i spacerem udaliśmy się nad morze, gdzie usiedliśmy na piaszczystej plaży i pijąc zimne piwo kontynuowaliśmy rozmowy o życiu.

Czasem łatwiej jest dorobić drogę obok, niż załatać dziurę w moście

Dzień 11 - Wszyscy mieli identyczne ciasto

Obudziliśmy się dziś później niż zwykle. Do tej pory codziennie jedliśmy śniadanie o 8:00, więc budzik ustawiliśmy na 7:20. Dziś wstaliśmy o 9, umyliśmy się i spokojnym krokiem ruszyliśmy na śniadanie. Po śniadaniu powoli spakowaliśmy się i poszliśmy na recepcję oddać karty do pokoju oraz zapłacić za dodatkowe wygody dnia wczorajszego. Wymeldowanie było o godzinie 12-stej, za to o 13-stej zaczynał się obiad, na który jeszcze mogliśmy pójść. Chcieliśmy zanieść bagaże do samochodu, a potem wrócić do holu i poczekać do obiadu, ale zerwał się okropny deszcz. Dopiero gdy przestał poszliśmy z walizkami na parking. Po powrocie usiedliśmy w holu i zamówiliśmy sobie po smoothie. Poczekaliśmy godzinę popijając napoje, którego co ciekawe, wcale smoothie nie były. Niemalże z równą 13-stą weszliśmy na salę obiadową i gdy tylko się najedliśmy, wyjechaliśmy z hotelu. Bardzo miło wspominać ten pobyt.

Wyjeżdżając z Cayo Santa Maria musieliśmy ponownie zapłacić 2 dolary, ale tym razem nie kontrolowali naszych

paszportów. Skierowaliśmy się na zachód - do Matanzas, gdzie znajdował się ostatni zaplanowany przez nas nocleg. Z naszych obliczeń wynikało, że paliwa wystarczy nam już do samej Hawany. Obyśmy się nie mylili! Nie wiedzieliśmy, czy po oddaniu samochodu zwrócą nam za paliwo pozostałe w baku, więc woleliśmy oddać możliwie pusty. Jadąc do Matanzas mijaliśmy elektrownię słoneczną. Niezbyt wyszukaną, bo było to jedynie pole paneli słonecznych. W całej podróży trzykrotnie widziałem taką elektrownię, natomiast innego rodzaju - ani razu. Nie jest to żadnym dowodem na ekologię kubańskiej energetyki i szczerze mówiąc ciekawi mnie jaki jest rozkład pomiędzy źródłami energii. Koniecznie sprawdzę to jak wrócę! Energia identycznie jak u nas rozsyłana jest do lokalnych rozdzielni prądu siecią trakcyjną i identycznym kanałem dalej do odbiorców. Nie wiem jakie napięcie wchodzi do rozdzielni ani jakie z niej wychodzi, natomiast w pokojach, w których przyszło nam nocować były gniazdka o dwóch napięciach: amerykańskie gniazdka na płaskie wtyczki o napięciu 110 V i europejskie gniazdka na okrągłe bolce o napięciu 220 V. Im bardziej na zachód Kuby, tym bardziej po równo można było spotkać rodzaje gniazdek. Z kolei im dalej na wschód z kolei tym większa była przewaga amerykańskich. Bywały noclegi, gdzie naładować telefon mogliśmy jedynie z power banku. Podejrzewam, że z lokalnych rozdzielni prądu wychodzi napięcie o jednej wartości, bo na słupach sieciowych często można spotkać wiszące transformatory olejowe (takie duże walcowate puszki, których zadaniem jest zmiana

napięcia na inne), w dodatku po kilka na jednym. Kubańcy mogą w ten sposób czerpać prąd elektryczny o potrzebnych im napięciach prosto z takich transformatorów, które w dodatku zapewniają izolacje galwaniczną od sieci trakcyjnej (w pewnym stopniu zabezpiecza to przed przebi-
ciem, a pamiętajmy, że urządzenia elektroniczne na Kubie kosztują wielokrotność pensji).

Przejeżdżając przez Remedios gps skierował nas na drogę, która nie była jeszcze zbudowana. Ratowaliśmy się objazdem licząc, że trasa zaktualizuje się na jakąś przejezdną. Stało się natomiast dokładnie na odwrót. Jadąc zgodnie z nawigacją zostaliśmy poinstruowani, aby skrócić w lewo prosto w betonowy mur. Porzuciliśmy pomoc elektroniczną i spróbowaliśmy wyjechać z miasta intuicyjnie. Widzieliśmy na mapie, że dzieli nas od tego wspomniany w wcześniej skręt w lewo, więc błędząc naokoło próbowaliśmy dostać się na tamtą drogę za pomocą płataniny osiedlowych ścieżek. Kosztowało nas to kilka chwil frustracji, ale w końcu udało nam się wypłatać i wróciliśmy na dobry tor. Opuściliśmy Remedios i zaczęliśmy zbliżać się do autostrady A1. Tam z kolei podobnie jak zawsze roilo się od przydrożnych handlarzy, czy też autostopowiczów „z podarunkami”. Szczerze mówić obie te opcje wydają mi się dosyć nieprawdopodobne. Dziś każdy z handlarzy wymachiwał dosyć sporą tacką, na której trzymał dwa bloki ciasta.

Wszyscy mieli identyczne ciasto.

Zastanawiam się, jak to w ogóle funkcjonuje. Może codziennie rano przejeżdża tędy ciężarówka zostawiając ich z porcją towarów, a wieczorem zgarnia i zbiera przychody? Brzmi to okropnie abstrakcyjnie, ale nie przychodzi mi do głowy żadne inne wytłumaczenie.

W Matanzas zaparkowaliśmy i poszliśmy pieszo szukać noclegu. Udało nam się przy pierwszym podejściu, choć początkowo zapowiadało się, że dom będzie opustoszały. Wszystko było pozamykane na kłódki, ale na bramie znaleźliśmy małą dzwonek do drzwi. Zadzwoniliśmy i już po chwili oglądaliśmy pokój. Zdecydowaliśmy się na niego, za to właścicielce nadaliśmy imię Esmeralda. Rozpakowaliśmy się i ruszyliśmy do pobliskiego baru nad plażą. Zamówiliśmy po pinacoladzie i rozkoszowaliśmy się widokiem na zatokę. Mniej więcej, gdy kończyliśmy pierwszego drinka, rozpadał się ulewny deszcz, który tymczasowo uwięził nas w barze. No trudno... musieliśmy zamówić kolejnego.

Dzień 12 - Próba nożnego odpalenia konia

Obudziliśmy się niezbyt wyspani, najprawdopodobniej z powodu głośno pracującej przez całą noc klimatyzacji. Zdziwiłem się, bo specjalnie ustawiłem ją w tryb „super quiet” i na początku z tego co pamiętam działało. Śniadanie u Esmeraldy było dosyć ubogie, ale zupełnie nam wystarczyło. Podany sok z mango pochodził rzekomo z jej własnych zbiorów. I faktycznie w smaku był dużo delikatniejszy, a przede wszystkim nie taki słodki jak te dotychczasowo przez nas pite. Spakowaliśmy się, zapłaciliśmy i pożegnaliśmy. Gdy wyjeżdżaliśmy z Matanzas udało nam się na pożegnanie stoczyć kolejny bój z gps'em. Podejrzewam, że maszyna nie poradziła sobie z nietuzinkowym układem dróg, gdzie przez chwilę mimo prawostronnego ruchu powinniśmy wjechać na jezdnię z lewej strony, bo ruch z naprzeciwka nadjeżdżał z prawej. Samo skrzyżowanie było do tego słabo oznaczone, przez większość czasu myśleliśmy, że wszystkie pasy w kierunku naszego wyjazdu były pod prąd. Próbowaliśmy odnaleźć inną drogę, ale nawigacja uparcie

kierowała nas na to skrzyżowanie, aż w końcu poddaliśmy się i gdy po raz kolejny do niego podjechaliśmy, udało nam się zauważyć jak inny samochód wjeżdża w nasz ukryty w tym labiryncie docelowy pas.

Za miastem drogi były naprawdę przyzwoite. Jednolita, czteropasmowa nawierzchnia, bez ani jednej dziury, była czymś czego na Kubie jeszcze nie widziałem. Myślę, że nareszcie mogę powiedzieć, że w kwestii dróg na Kubie widziałem już praktycznie wszystko. Niestety jadąc do Hawany udało nam się też zauważyć dosyć przykre wydarzenie - zablokowaną drogę przez ustawiony poprzecznie zapręg. Z daleka widzieliśmy siłującego się z wozem człowieka, więc zatrzymaliśmy się na poboczu by mu pomóc. Gdy podszliśmy bliżej naszym oczom okazała się przyczyna: leżący na asfalcie, ciężko oddychający koń. Spytałem woźnicę jak możemy mu pomóc, ale odpowiedział tylko długim hiszpańskim zdaniem, z którego nie zrozumiałem ani słowa. Na szczęście zaraz pojawili się dookoła inni i zaczęli zdejmować uprząż z konia, więc i my się przyłączyliśmy. Po chwili siłowania z węzłami i wozem udało nam się wyswobodzić zwierzę, i wtedy jego właściciel zaczął kopać go po karku.

Próba nożnego odpalenia konia.

Wyglądało to makabrycznie. Nie wiem czy to normalne traktowanie koni na Kubie, czy ten człowiek był przerażony swoją sytuacją i nie potrafił racjonalnie do tego podejść,

przez co za wszelką cenę chciał jak najszybciej opuścić jezdnię. Koń po chwili wstał i razem z zaprzęgiem znaleźli się na poboczu, więc my wróciliśmy do auta i odjechaliśmy. Właściciel nawet nam nie podziękował, ale zrobiła to reszta grupy pospolitego ruszenia drogowej pomocy.

W Hawanie zatrzymaliśmy się w północnej dzielnicy na płatnym parkingu. Stróż powiedział nam, że cena za godzinę wynosi 1 dolar, ale za 4 dolary możemy stać tu cały dzień, bo on nigdzie się nie rusza. Zostawiliśmy samochód pod jego opieką i poszliśmy do sklepu z rumem i cygarami - tego samego, który był ostatnim punktem odwiedzionym w Hawanie, gdy byliśmy tu za pierwszym razem. Każdy z nas uzupełnił zapasy kubańskich dóbr do ilości, którą chcieliśmy zabrać do Polski. Przed wylotem chcieliśmy jeszcze zwiedzić słynny cmentarz w Hawanie: Necrópolis de Cristóbal Colon. Znajdował się on ponad godzinę pieszej drogi od nas, ale mieliśmy dużo czasu, więc zdecydowaliśmy się na taki spacer. Gdy tylko weszliśmy na cmentarz, pierwszą rzeczą do jakiej zostaliśmy zawołani, była kasa biletowa. Chyba za bardzo wyglądaliśmy jak turyści, bo nie sądziłem, że odwiedziny cmentarza są płatne dla każdego. Jak się okazało, opłata była nie tyle biletem wstępu, co wykupieniem sobie oprowadzania z przewodnikiem i na szczęście w kanciapie przewodników znalazł się nawet jeszcze jeden mówiący po angielsku.

Cmentarz Colon jest największym w Hawanie. Rozrósł się najbardziej za czasów plag i chorób dziesiątkujących miasto, dlatego też przynajmniej wtedy znajdował się na

jego przedmieściach, a nie w centrum. Początkowo grobowce tutaj posiadali jedynie arystokraci i baronowie, za to dziś, aby zostać tu pochowanym - jak to określił przewodnik - wystarczy być martwym. Bogate hiszpańskie rody rywalizowały między sobą stawiając coraz to wyższe pomniki, co było świadectwem ich bogactwa. Same groby były bardzo różne, na cmentarzu są między innymi dwie piramidy o wysokości około 3 metrów. W jednej z nich pochowany jest profesor architektury Uniwersytetu Hawańskiego. W czasach kolonialnych Kubańczycy handlujący cukrem byli bogaci, ale nie mieli żadnego tytułu, więc nie mogli zostać pochowani wśród arystokratów. Niektórzy kupowali tytuły od ubogich Hiszpanów, co dawało im równą pozycję i miejsce na cmentarzu. Między innymi w podobny sposób pochowany został barman Ernesta Hemingwaya, który swoją fortunę uzbierał z napiwków zbieranych od gości z całego świata chcących napić się u tej samej osoby, co słynny pisarz. Najwyższy pomnik postawiony został ofiarom wypadku z 17 maja 1890 roku. Wybuchł pożar w magazynie materiałów wybuchowych i do działania wysłana została lokalna straż pożarna. Strażakom powiedziano, że akcja jest bezpieczna, natomiast po pewnym czasie nastąpiła ogromna eksplozja, która pociągnęła za sobą od 21 do 30 ludzi w młodym wieku - dokładna liczba nie jest znana. Pomnik jest wykonany z najdroższego marmuru na świecie i posiada bogate i symboliczne zdobienia, takie jak nietoperze oznaczające ślepotę w dymie palącego się prochu czy lzy wiszące na poręczach.

Po skończeniu zwiedzania poszliśmy do kościoła w centrum cmentarza. Usiedliśmy na ławce i podziwialiśmy piękne witraże, których szkło było celowo przyciemnione tak, by zbudować odpowiedni kontrast ekspozycji. Dzięki temu powstało wrażenie jakby wyszczególnione elementy witraży aż błyszczały. Nacieszyliśmy się tym widokiem i wyszliśmy z cmentarza. Niechętnie zaopatrując się na kolejny godzinny spacer w wysokiej temperaturze, postanowiliśmy wrócić taksówką. Aby nie nadziać się na wysokie ceny, zdecydowaliśmy się pojechać z kierowcą zaparkowanej przy cmentarzu Łady (z logiem taxi za szybą). Pokazaliśmy mu na mapie, gdzie chcemy się dostać i po chwili już jechaliśmy. Kierowca spytał nas skąd jesteśmy, a gdy usłyszał odpowiedź, zaczął dopytywać jak nam się żyje w Polsce bez socjalizmu. Nie trwało to długo, aż zaczął marudzić na ku-bański ustrój, nawet wspomniał, że nie może się doczekać aż w końcu będą mieli inny. Spytał na koniec jakie mamy w Polsce samochody, a ja stoczyłem wewnętrzną walkę, żeby to w sobie stłumić, ale oczywiście przegrałem i pokazałem mu zdjęcie mojego auta. Zamknęło to temat rozmów o samochodach. Na pożegnanie zapłaciliśmy taksówkarzowi, a ja dałem mu na pamiątkę złotówkę. Oby służyła mu jako talizman na szczęście.

W centrum zjedliśmy obiad, a właściwie Kozi zjadł, bo ja przed podróżą nic nie jadam. Wypiłem tylko lemoniadę z lodem, za to Kozi zamówił sobie makaron z sosem bolognese. Po posiłku wróciliśmy pieszo do samochodu i pojechaliśmy na lotnisko. Gdy dojechaliśmy na parking sa-

mochodów wynajmowanych, spojrzeliśmy na licznik. Wypożyczając auto spisaliśmy w umowie jego stan, przez co wiedzieliśmy dokładnie, ile kilometrów pokonaliśmy. Nasz trzeci kompan pozwolił nam przebyć łącznie trasę 3003 km. Stojąc na parkingu spakowaliśmy kupione tego samego dnia butelki rumu tak, aby możliwie zabezpieczyć je w transporcie, po czym zabraliśmy swoje bagaże i ruszyliśmy oddać samochód, którym Kubę objechaliśmy dookoła. W Internecie krążą plotki, że Kubańczycy starają się na siłę znaleźć jakieś wady w samochodzie, żeby uszczknąć na kaucji. Nas to akurat nie spotkało - może dlatego, że samochód był prawie nowy, przez co dostaliśmy go bez wad, no i oddaliśmy również bez, był jedynie brudny z wszechobecnej na Kubie pomarańczowej ziemi. Na lotnisku wymienilem otrzymaną kaucję na euro i razem z Kozim usiedliśmy, czekając na otworzenie bramek do odprawy.

Spis treści

| | | |
|----|--|----|
| 1 | Wstęp | 3 |
| 2 | Prysznic to luksus, na który nie każdy może sobie pozwolić | 5 |
| 3 | Smacznego! | 17 |
| 4 | Słowo Cuba oznacza miejsce, w którym są góry i żyzne ziemie | 27 |
| 5 | Drogi na Kubie bywają złudne jak pralka w kartonie | 37 |
| 6 | Tak dobrze żarło, a zdechło | 47 |
| 7 | Yes yes, this is my house | 55 |
| 8 | Najwyższy czas wyjechać z tego miasta | 65 |
| 9 | Bunkrów nie ma, ale też jest zajebiście! | 73 |
| 10 | Brakuje tylko autostopowiczów z bananami | 83 |

| | |
|---|-----|
| 11 Czasem łatwiej jest dorobić drogę obok, niż załatać dziurę w moście | 91 |
| 12 Wszyscy mieli identyczne ciasto | 97 |
| 13 Próba nożnego odpalenia konia | 101 |